Numer 27 Dnia 5 lipca 1914



KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

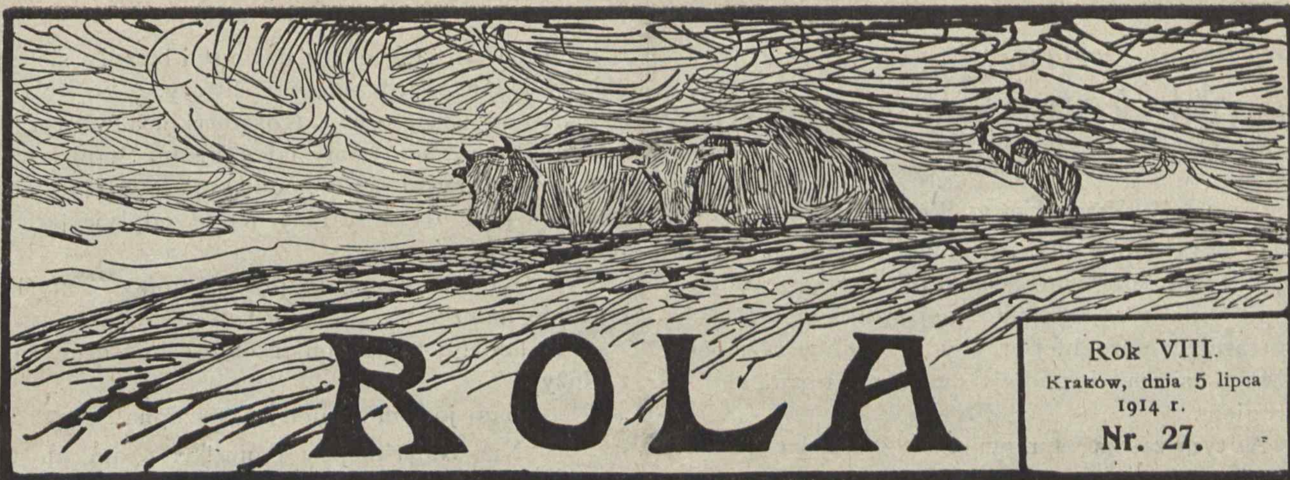
Za zmianę adresu należy się 40 halerzy

Pewien młokos odezwał się w towarzystwie:
— Wierzę tylko w to, co widzę; Pana Boga nie widzę, więc w niego nie wierzę.
Na to ksiądz:
— Ja pańskiego rozumu nie widzę, więc nie wierzę, żebyś pan miał rozum.

Wytłumaczył.
— Czy pan radca odzwyczaił się od palenia w późniejszym już wieku?
— Nie, ja jako niepalący przyszedłem na ten świat.

Janek (patrząc na słonia): — Wie tatuś, nam obom przydałaby się taka skóra.
Ojciec: — A tobie co smarkaczu przychodzi do głowy?
Janek: — No, bo wtenczas tata nie musiałby się bać mamy, a ja nauczyciela.

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia »Roli«.



Rok VIII.
Kraków, dnia 5 lipca 1914 r.
Nr. 27.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4·50 kor., półrocznie 2·40 kor.; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 50.

Zamordowanie Arcyks. Franciszka Ferdynanda

austryackiego Następcy tronu

i Jego Małżonki Zofii von Hohenberg.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand bawił w Serajewie, stolicy Bośni, z okazyi manewrów. Gdy arcyks. Franciszek Ferdynand z małżonką ks. Zofią Hohenberg jechał w niedzielę 28 czerwca przed południem automobilem, rzucono na automobil bombę. Arcyksiążę ręką odrzucił bombę. Bomba wybuchła obok samochodu. Jadący w drugim samochodzie hr. Boos Waldegg i adjutant przyboczny szefa rządu podpułkownik Marizzi odnieśli lekkie rany. Z publiczności sześć osób odniosło lżejsze lub cięższe rany.

Sprawcę zamachu, drukarza z Trebinje, nazwiskiem Cabrinović, natychmiast ujęto.

Po uroczystem przyjęciu w ratuszu wyjechał Arcyksiążę powtórnie wraz z małżonką na przejażdżkę po mieście. **Wtedy gimnazyaliści VIII klasy, Princip i Grabowo, dali kilka strzałów z browningów do automobilu.**

Arcyksiążę został raniony w głowę, a księżna Hohenberg w podbrzusze.

Oboje rannych przeniesiono do konaku, gdzie zmarli wskutek odniesionych ran.

Obu sprawców zamachu ujęto. Zebrane tłumy chciały ich na miejscu zabić.

Zamach wykonany został w chwili, gdy Arcyksiążę jechał wraz z małżonką automobilem przez Corso wśród szpaleru wojskowego. Za szpalerem nie wolno się było publiczności zatrzymywać, sprawcy zamachu udało się jednak przedostać przez szpaler. Następca tronu jechał automobilem szefa rządu krajowego Potiorka. Przez całą drogę rozlegały się głośne owacye ludności. Zarówno następca tronu, jak i małżonka jego, stracili zaraz po strzałach przytomność. Przewieziono ich do pałacu szefa rządu, lecz pomoc lekarska była już daremną. Natychmiast po zamachu wydano bardzo obszerne zarządzenia, celem stwierdzenia, czy sprawca zamachu miał współwinnych. Przypuszczają, że istniał spisek, zorganizowany w Belgradzie, stolicy Serbii.

Sprawca zamachu Gawryło Princip liczy lat 19, pochodzi z Grachowy, w powiecie Livno. Dłuższy czas przebywał w Belgradzie na naukach. Przy przesłuchaniu podał, że już dawno miał zamiar zamordować jakąś wysoko postawioną osobistość. W niedzielę czekał na przyjazd arcyksięcia na wybrzeżu Appel i kiedy samochód w powrocie z ratusza przy skręcaniu w ulicę Franciszka Józefa musiał zwolnić biegu, Princip dokonał zamachu. Chwilę wahał się, ponieważ i księżniczka Hohenberg siedziała w samochodzie, potem jednak strzelił szybko raz po raz. Princip przeczy, jakoby miał wspólników.

Nadejko Cabrinović, którego zamach bombą się nie udał, oświadczył, że otrzymał bombę od jakiegoś anarchisty w Belgradzie, którego nazwiska nie zna. Po zamachu skoczył do rzeki Mijacka, aby umknąć, lecz policyanci i publiczność pogonili za nim i ujęli go.

Kilka kroków od miejsca, gdzie dokonano drugiego zamachu, znaleziono bombę, prawdopodobnie pochodzącą od trzeciego spiskowca.

Antoni St. Bassara.

W oblężonej Warszawie.

Powieść historyczna.

12. Kościuszko w Warszawie.

Od wypadków, opisanych w poprzednich rozdziałach, upłynęło parę miesięcy. Podczas tego Warszawa sposobiła się do ostatecznej walki, zaś Kościuszko starał się corychlej przybyć do stolicy, wzmocnić ją swemi siłami i pod jej murami rozprawić się z wrogiem.

A tymczasem sprzymierzone wojska pruskie i moskiewskie usiłowały go odciąć od stolicy. Nie narażając się nigdy na większą bitwę, nacierały w ostrożnych podjazdach, usiłując odnaleźć słabą stronę w kolumnach polskich, aby módz którą z nich od reszty wojska oderwać, a przez to ułatwić sobie przystęp do Warszawy.

Z końcem czerwca zaczęły się też codzienne utarczki, zwłaszcza od strony Łowicza. We wszystkich jednak byli Polacy górą, gdyż walczyli z większym zapałem, bo w obronie swej własności.

Tak z każdym dniem wojska Naczelnika coraz bardziej zbliżały się ku Warszawie, ku ktorej równocześnie zdążały korpusy Zajączka i Mokronowskiego.

W ślad za nimi szedł ku stolicy nieprzyjaciel. Ale naczelnik miał już do Warszawy drogę zupełnie otwartą.

Na wiadomość o przybyciu Kościuszki ruch niezwykły zapanował w mieście. Przysposabiano się gorączkowo do uczczenia największego wodza narodu i wybawiciela Ojczyzny.

W dniu tym od samego rana na wszystkich kościołach kołysały się dzwony, zwołując ludność na wielką uroczystość. Na ratuszu, na gmachach publicznych pojawiły się barwne chorągwie narodowe, a ulicami przeciągały oddziały straży miejskiej, uformowane z mieszczan i rzemieślników, z chorągwiami i muzyką.

Wszędzie widać było poważny a radosny nastrój, gwar, wrzawę, a nad tem wszystkiem rozciągało się szafirowe niebo i sypało złotymi promieńmi słonecznymi. Sztandary i chorągwie kołysały się w powietrzu, poruszane lekkim wiatrem.

Szykowały się procesye, cechy i wojsko. Nareszcie pochód cały ruszył przez ulicę królewską na Marszałkowską, a potem na Mokotów, na powitanie Kościuszki.

Cała Warszawa opasana była bowiem obecnie przez wojska polskie, stojące trzema obozami. Pod Marymontem stał Mokronowski, na Czystem Zajączek, pod Mokotowem Kościuszko, a naprzeciw nich silnie oszańcowani Moskale i Prusacy.

Na Mokotów na powitanie Kościuszki ruszył więc cały pochód. Za procesyami, cechami i wojskiem runął tłum cały. Z kilkudziesięciu tysięcy piersi zagrzmiała pieśń: *Boże w dobroci nigdy nie przebrany*, wstrząsając powietrzem i niosąc korną prośbę do stóp Najwyższego.

A na wieżach grały dzwony i łączyły się z pieśnią w jeden akord potęgi i chwały.

Naród szedł witać Kościuszkę, a w uroczystej tej chwili nikt nie pomyślał o królu. Stanisław August Poniatowski stał podówczas w oknie swego pałacu i patrzył zamyślony na tę odpływającą falę ludu.

— Komu innemu to przeznaczone — myślał — co mnie należeć się powinno!

Bolało go takie opuszczenie, choć czuł, że nań zasłużył.

— Sam jestem winien... — szepnął.

— Nie, Najjaśniejszy Panie! Nie sam, ale i doradcy twoi — odezwał się ktoś z stojących obok króla.

— Niech będą przeklęci, jako i ja jestem przeklęty — rzekł król smutnie.

Nie uspokoiło go to jednak, bo po chwili odezwał się znowu:

— Królem jestem bez narodu, wodzem bez wojska, a wkrótce może i bez tronu.

Łza spłynęła po jego licach.

— Boże! dlaczego tak jest, a nie inaczej?! — krzyknął głośno — Za co spotyka mnie to pohańbienie?

Jakby w odpowiedzi na ten wykrzyk przed oczyma jego duszy ukazała się postać kobiety młodej, pięknej, uśmiechniętej do niego, w płaszczu gronostajowym, z koroną na głowie.

— Katarzyna! — jęknął. — Tyś hańbą moją, tyś przekleństwem mojem. Jam cię więcej ukochał niż naród własny, niż szczęście własne, a tyś mnie do hańby pchnęła, a naród mój w kajdany chcesz zakuć! O bądź stokroć przeklętą, jako ja przeklęty jestem!

Jęczał król i złowrogie widmo pragnął odpędzić od siebie. Daremnie! Kobietę tę widział wszędzie, jako plamę swojego żywota. Usiłował oderwać myśl od niej, a nie mógł.

A tymczasem, kiedy król borykał się sam z swemi myślami, Warszawa cała szła na powitanie Kościuszki.

Naczelnik nie spodziewał się niczego. Powróciwszy co tylko z okopów, gdzie badał stanowiska nieprzyjaciół, zasiadł z oficerami do narady.

Nagle na polach Mokotowskich rozległ się potężny, jak huragan, okrzyk:

— Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Kościuszko!

Zerwali się wszyscy z siedzeń.

— Co się tam dzieje? — zapytał naczelnik.

A w tej chwili wpadł do namiotu oficer służbowy.

— Generale Naczelniku! — zameldował — cała Warszawa zdąża na twe powitanie!

Błysk zadowolenia przebiegł po twarzy wodza. Nie cieszyły go owacye, czynione dla niego, lecz napawało go radością umiłowanie świętej sprawy.

W skromnym stroju, tak jak był, piechotą wyszedł naprzeciw tłumów.

Spostrzeżono go, wychodzącego z namiotu, więc ponownie rzucono w powietrze radosny okrzyk:

— Niech żyje Kościuszko!

Zaszeleściały chorągwie i, jakby na dany znak, pochyliły się trzykrotnie ku ziemi. A nieskończone okrzyki płynęły ponad dolinę Wiślną i budziły radość i nadzieję lepszej przyszłości u wszystkich.

Kiedy Kościuszko stanął przed tłumami, wysunął się z pośród nich starzec, mieszczanin warszawski, z chlebem i solą na srebrnej tacy. Schylił się przed Kościuszką, a podczas gdy wiatr igrał z jego siwym włosem, on głosem drżącym od wzruszenia mówił:

— Wielki nasz Wodzu... Naczelniku!... Tyś nas wszystkich powołał pod broń, abyśmy w wolnej Ojczyźnie mogli spożywać chleb spokojnie!... Przyjm ten chleb od wolnych obywateli... na wolnej ziemi!...

Łzy stłumiły jego słowa. Schylił więc tylko głowę jeszcze niżej i podał chleb Kościuszce.

Przyjął Naczelnik dar ten, może najcenniejszy z darów, jakie go kiedykolwiek w życiu spotkały.

— Bóg zapłać! — rzekł. — Obyśmy go zawsze w wolności spożywać mogli.

I temu żołnierzowi z krwi i kości drgać powieki zaczęły ze wzruszenia. A piersi tłumów wzdęły się i wyleciał z nich gromki okrzyk:

— Niech żyje Kościuszko! Niech żyje Naczelnik!

A bohater stał wzruszony i załzawionym wzrokiem dziękował tym tłumom za radość, jaką sprawiły jego sercu.

Zaledwie przebrzmiały okrzyki, zbliżył się ku Kościuszce prezydent Warszawy.

— Witaj nam, Naczelniku, i wejdź w te mury, które wśród siebie królów i bohaterów chowały, a teraz shańbione przez Moskali, króla i własnych rodaków! — rzekł. — Wejdź i broń nas od hańby i niewoli!

I znów zabrzmiały okrzyki:

— Niech żyje wolność! Niech żyje niepodległość! Niech żyje Kościuszko!

Naczelnik tymczasem wmieszał się w tłum. Po przywitaniu się z członkami Rady Tymczasowej poszedł, gdzie stały uszykowane cechy. Na czele szewców stał znany mu już Jan Kiliński, którego sam za służby oddane Ojczyźnie, mianował był pułkownikiem

Majster zdjął rogatywkę z głowy i huknął z całej piersi:

— Niech żyje zbawca Ojczyzny!

A Naczelnik, podawszy mu rękę i uścisnąwszy serdecznie, rzekł:

— Pułkowniku! W imieniu Ojczyzny dziękuję ci za wszystko, coś dla niej uczynił. Dziękuję ci za miłość twoją dla niej i za twą odwagę. Mam nadzieję, że na czele twego pułku oddasz jej jeszcze niejedną przysługę.

Zapał ogarnął szewców. W osobie ich mistrza spotykał ich zaszczyt nielada. Oto ten bohater, wsławiony niedawno w walkach o niepodległość Ameryki a obecnie zwycięzca z pod Racławic, bratа się z pracownikami od kopyta. Każdy z nich postanowił sobie w głębi duszy życie dać w ofierze za tę Matkę-Polskę i za jej oswobodziciela.

I znowu zabrzmiały okrzyki na cześć Wodza i na cześć Matki-Polski. A kiedy przebrzmiały, zwrócił się Naczelnik do Kilińskiego z życzeniem, aby mu wskazał tych, którzy najdzielniej stawali w pamiętnych dniach walki z Moskalami. Chciał im udzielić odznaczenia.

— Wszyscy oni — rzekł Kiliński — porówni dobrze się zasłużyli Ojczyźnie! Wszyscy i nie wiem, o ile jeden przewyższył drugiego.

Ale równocześnie przebiegł szmer po szeregach, z którego wypłynęło jedno imię:

— Marcin! Marcin Zawada!

— Któż to jest? — zapytał Naczelnik.

— Mój czeladnik i przyjaciel serdeczny! — odparł Kiliński.

— Obywatel Marcin Zawada, porucznik 20 pułku, niech wystąpi! — rozkazał Kościuszko.

Z poza plec innych wysunął się blady i zmizerowany Marcinek. Stanął nieśmiało przed Naczelnikiem, drżąc cały.

— Poruczniku! coć jest? — zapytał Kościuszko.

— Jam nie porucznik żaden, generale! — rzekł Marcin — lecz szewc zwyczajny.

— Od chwili, gdy cię nazwałem porucznikiem, jesteś nim, abyś tak dalej służył Ojczyźnie, jak dotychczas.

— Dziękuję za łaskę, ale jej przyjąć nie mogę! — szepnął zmieszany Marcinek.

— Dlaczego? — zapytał Kościuszko.

Kiliński opowiedział mu pokrótce sercowe strapienia chłopca.

Kiedy dziewczyna znikła, Marcin nie mógł sobie znaleść miejsca. Przeszukał całą Warszawę, ale ani śladu po niej nigdzie nie znalazł. Robił wycieczki nawet w okolicę, ale również bezskutecznie. Gryzł się i chudł niepomiernie, ale ukojenia nie znachodził. Nic go nie cieszyło, na niczem mu nie zależało. On tylko jednego pragnął, o jednem myślał. Chciał jeszcze choć raz w życiu zobaczyć Zośkę, a potem... Potem, niechby się działo, co chciało. On pragnął jedynie wiedzieć, co ma o swej umiłowanej sądzić: czy dziewczyna z Moskalem zbiegła, czyli też rozpacz popchnęła ją do jakiego szaleństwa? A może jakie nieszczęście ją spotkało? Chciał zobaczyć ją jeszcze żywą, lub umarłą. Gdyby zaspokoił to ogromne swoje pragnienie, nie oszczędzałby życia. Poszedłby w najgęstszy grad kul i niechby zczezł marnie. Nie mając jednak pewności co do losów dziewczyny, nie chciał przyjmować na siebie żadnych obowiązków, którym nie mógłby sprostać, a które przykuwałyby go do siebie i przeszkadzały w poszukiwaniach.

Ale Kościuszko, wielki znawca serc ludzkich, znalazł wnet lekarstwo na jego upór.

— Synu! — rzekł — Któż z nas nie ma spraw osobistych, któreby go mogły od służby Ojczyźnie odwodzić? Wszyscy je mamy i częstokroć może ważniejsze od twoich. Ale Ojczyzna wszystkiem nam być powinna: i matką, i kochanką, i żoną. Dla niej powinniśmy rzucić wszystko, co od niej nas odciągać może; dla niej poświęcić nam trzeba radości

i smutki nasze, bo ona jedna jedyna tu na ziemi, dla której żyć winniśmy.

Słowa te wzruszyły wszystkich do głębi. Marcinek przypadł do kolan Naczelnika i począł je całować z uniesieniem. Tak mu był wdzięczny za nie bo choć nie oddalały od niego strapień osobistych, ale wskazywały mu cel inny, donioślejszy i świętszy.

Podniósł Kościuszko z ziemi rozrzewnionego chłopaka.

— Nie zrozum słów moich — rzekł — abym ci i o sobie myśleć zabraniał. Owszem, pozostanie ci i na to dość czasu, a sposobności do poszukiwań nie zabraknie wcale. Towarzysze ci pomogą, starsi doradzą. Być może, że wśród swoich zasiągniesz języka, a może ci jej u wrogów poszukać wypadnie. W każdym razie lepiej ci będzie na czele oddziału, aniżeli w samotności.

Słowa te rozrzewniły Marcinka.

— Naczelniku! Chyba życiem ci odpłacę za dobroć twoją! — zawołał.

— Służ wiernie Ojczyźnie — odrzekł Kościuszko — innej od ciebie zapłaty nie żądam.

Rzekłszy to, opuścił Naczelnik wzruszonych do głębi szewców, aby udać się do innych cechów i każdemu powiedziedzieć życzliwe słowo, a wrazie potrzeby udzielić odznaczenia.

A tymczasem wciąż jak kanonada szły okrzyki:

— Niech żyje Naczelnik; Niech żyje wolność!

Oddawszy hołd zasłudze i powitawszy bohatera, obywatele w porządku powrócili do miasta.

Kościuszko dopiero nad wieczorem w otoczeniu licznego orszaku udał się do stolicy. Na ulicach: Marszałkowskiej, Królewskiej, na Krakowskiem Przedmieściu aż do placu Zygmunta tłoczyły się oczekujące tłumy. Wszystko, co żyło, wyległo na ulice, aby choć raz jeden zobaczyć bohatera z pod Racławic.

Nareszcie zakołysały się fale ludu, a wśród nich ukazał się na Krakowskiem Przedmieściu Kościuszko. Jechał obok Mokronowskiego zamyślony, smutny. W głębi swej duszy widział przyszłość przed sobą i wiedział, że wrogowi trzeba będzie odbierać ziemię piędź po piędzi, że wiele ofiar ponieść trzeba będzie aby ją z najeźdźców oczyścić.

A gdy tak nad tem rozmyślał, rozchyliły się tłumy, pośród których ukazała się długa linia dziewcząt ubranych biało, z koszyczkami kwiatów. Strumienie barwnego kwiecia spłynęły pod nogi Naczelnika, obsypały jego mundur, a z piersi dziewczęcych podniosły się okrzyki:

— Sława ci, sława, sława!...

Naczelnik podnosił głowę, uśmiechał się do zgromadzonych tłumów i skinieniem ręki dziękował za owacyę i okrzyki.

Tak witała Warszawa bohatera narodowego, a tymczasem żelaznym pierścieniem otaczały ją siły moskiewsko-pruskie, gotując się do strasznego boju, aby corychlej zgnieść ten poryw do wolności.

Czyhała przemoc, sposobili się do jej odparcia patryoci, a król bezczynnie przebywał w swym pałacu — słomiany król. (Ciąg dalszy nastąpi.)

POBUDKA.

(Do Braci „Saksiaków“).

Przecz zabaczyłeś se polski Chłopie,
jakeś pod Stoczkiem armaty brał —
do kolan stojąc w krwawym ukropie,
w moskiewskie ścierwo kosę'ś Twą pchał!?
 Przecz zabaczyłeś, żeś jest mocarny
 i w nędzy wiedziesz dziś żywot marny,
 przecz smutku chmura kryje Twą twarz?!

Hej! W górę serca! Piasta prawnuki!
Trza nam rozświetlić ciemnoty noc!
A nie kos błyskiem, pożarów łuną,
lecz wzrokiem, zbrojnym w oświaty moc.
 Bo nie trąb dźwięki dziś hasłem naszem,
 dzisiaj nie kosą, ani pałaszem
 walczyć nam trzeba o prawa swe!

Hej! Baczność Chłopy! Bo dnieć zaczyna,
już się wesoły rumieni Świt!
Baczcież, by zastał Was hań, na łanie,
Kiedy Wawelu ozłoci szczyt!
 I nie z schyloną pokornie głową,
 lecz z okiem, w Jutrznię utkwionem nową,
 bo »osobliwe« nadchodzą dnie!

Czuwajcie, Chłopy! W zagrody Wasze
zakradł się straszny, zajadły wróg;
co się kłonicy nie lęka ciosu,
ni go przerazi dział groźny huk.
 On dusze Wasze w zgliszcza spłomienia,
 o wieki cofa czas Odrodzenia,
 z czół Waszych zdziera rycerzy znak.

Kropla po kropli w złudnej postaci
wlewa do duszy śmiertelny jad:
karczma mu twierdzą — a szynkfas szańcem,
On Was wypiera z rodzinnych chat —
 i wpędza głodnych w Prusaka paszczę,
 co Wam za pracę grzbiet biczem głaszcze
 i w twarze rzuca:... „Polnisches Schwein!“*)

Ej, Chłopie, Chłopie! Taż Twoje dziady
broczyły dłonie w niemieckiej krwi;
przecz więc pozwalasz, że Prusak-żmija
tak z Ciebie w oczy bezkarnie drwi?!
 Przecz zapominasz, że pięść masz twardą,
 przecz mu nie pluniesz w ślepie z pogardą,
 przecz mu obelgi nie wtłoczysz w pysk?!!...

Wszak hańbiąc Ciebie, — Matkę Twą hańbi,
przed Której mieczem tak niegdyś drżał:
kiedy na krwawych Grunwaldu polach
sztandar z Pogonią i Orłem wiał.
 Broń hardo, Bracie, Polski imienia,
 aby nie klęły Cię pokolenia,
 żeś był Ojczyzny wyrodny syn!

Wiek już przeminął, jak piętno „chama“
zmył z czoła Twego Racławic znój,
gdy w armat paszcze śmiało zazierał
Bartos Głowacki, Wódz Boży Twój.
 Bądź więc dziś godny tego Hetmana,
 czuwaj, bo idzie chwila wołana,
 bo Zmartwychwstania czujemy dreszcz!

Więc z piersią, zbrojną Wiary pancerzem,
z pierwszym się wrogiem rozpraw, co sił,
to i drugiego szatańską pychę
Bóg sprawiedliwy roztrąci w pył.
 I wskrzesisz Matkę ze snu mogiły,
 w którą Ją ręce wraże wtrąciły.
 i w tem Ci, Bracie, poszczęści Bóg!...

Władysław Sioło.

*) Czytaj: Polniszes Szwajn! = polska świnio!

NA POLE PO ZBOŻE.



Już błysnęło słonko Boże, hej, koniki, wio po zboże! Bóg urodzaj dał obfity, więc dla dziatek i kobiety będzie żywność na rok cały... Wio, koniku, wio, mój mały!

Nazwozimy snopów żyta, a gdy zima znów zawita, wymłócimy i zmielemy i jak państwo żyć będziemy, byle tylko Bóg ocalił i pożarem go nie spalił.

Wio, mój siwku, wio, bułany, wio, kasztanku mój kochany! Bóg nam dary zsyła z nieba, więc je zwozić rychło trzeba i złożyć Mu trza podzięki za dar hojny z Jego ręki.

Praca ciężka, trud niemały, ale życia przez rok cały, więc dalejże do roboty, by uniknąć deszczu, słoty, a stokroć się trud opłaci, plon za pracę nam zapłaci. *Antoni Socha.*

Z polskiej dziedziny.

Niema na świecie narodu bez wad, idealnie czystego, nieskażonego brakiem duchowym. Plemię słowiańskie również ma wiele stron ujemnych a temsamem i my, Polacy.

Jeżeli chcemy się zastanowić, z czego wyrodziła się większa część naszych wad narodowych, musimy cofnąć się w ubiegłe czasy, kiedy Polska istniała jako grupa polityczna między państwami Europy. Chociaż w dawnych czasach nie było uświadomienia między szerszemi warstwami a między wieśniakami zwłaszcza, to jednak nieskalany brudami fałszywej kultury t. z. chłopski rozum więcej wartał, niż dzisiejszy, rzekomą oświatą rozparzony umysł. Mniej było wad, bo trzeźwiej spoglądali na świat nasi ojcowie. I tak szanowali przodkowie ziemię rodzinną i chleb z niw laszych i prostota zwyczajów i obyczajów była potężną dzwignią życia społecznego, broniąca nas przed zepsuciem.

Kiedy jednak z biegiem czasu wydatność ziemi pomnożyła się dzięki kulturze, kiedy polska nietylko tubylców żywiła, lecz także zasilała płodami sąsiadów wkradła się do nas rozrzutność i lekkomyślność. Szły pieniądze do kraju wielką falą, ale jeszcze większą rozchodziły się na stroje, huczne uczty i zbytkowne a hulaszcze życie. Coraz mniej zważano na to, że dostatki kiedyś wyczerpać się muszą, marnowano je lekkomyślnie, aż przyszedł głód i nędza, która i na dzisiejsze czasy się przeniosła.

Lekkomyślność, to wrodzona Słowianom wada, najbardziej żywotne siły narodu niszcząca... Ile to sił, mienia ojcowskiego, rodzinnej chudoby lekkomyślnie tracimy?

Nierozwaga, to drugi błąd polskiej natury. Wszystko u nas, z małymi chyba wyjątkami, robi się na „ślepy traf“, nie rozpatrzywszy poprzednio sprawy przedsiębranej należycie; nie rozważamy, czy się jej podoła, czy ona pomyślny przyniesie rezultat, bierzemy na barki ciężar nad siły. Późno dopiero, (Polak mądry po szkodzie), spostrzegamy nasze płoche postępowanie, ogarnia nas zwątpienie i — idziemy w przyszłość złamani, bez celu, bo jaki cel zniechęcony do pracy człowiek posiadać może?,..

W wielkiej mierze przyczynia się do naszej niedoli brak wytrwałości. Zaczynamy coś robić z nadmiernym zapałem, który gaśnie, jak słomiany ogień a pracy w skutku do końca się nie doprowadza. Tyle pięknych planów, wzniosłych idei wymarzy człowiek, ale cóż z tego, jeżeli się ideału nie wcieli w ciało czynu?

Oprócz wielu innych, najbardziej w oczy uderza ta nasza chłopska zawziętość, objawiająca się w procesach, którymi sądy są przepełnione. Gdzie się ruszyć, w małej mieścinie, czy powiatowem mieście, dzień na dzień można zobaczyć przed sądami biednych chłopów naszych, licho odzianych, gdyż grosz do kieszeni adwokatów wędruje; gwary kłótni, przekleństwa miotane na przeciwników o piędź zaoranej ziemi, wypasionej łąki, kobiece »klekoty« (bo i kobiet w tem czartowskiem dziele nie brakuje), żydowskie fałszerstwa i kruczki prawne — oto atmosfera sądowo wiejska. W niej przysposabia się małe pachole, przyprowadzane tak często do przedsionka piekła, na przyszłe życie, życie nigdy nie przerwanej kłótni. Mniejsza o pieniądze... alež do jakich krańców przyszłość nasza zbliży się, gdy dusze, przesiąknięte jadem bratniej nienawiści, nie widzą przed sobą nic, jak materyalizm i wypływające zeń kłótnie.

Ej do pracy, do pracy wiejska rzeszo! Boga i Ojczyznę miej na pamięci, a będziesz silnie i wytrwale

czynami zgody drogę Matce słać
i pod sztandarem »zgody, pracy« stać!..

Wł. Łukasik.



Ciężkie czasy.

Od poranku do wieczora słychać różne żale, kwasy
Jęczą mali, średni wielcy, że nastały ciężkie czasy.
Dziedzic daje wioskę w najem lub sprzedaje żydom lasy,
Bo potrzeba żyć wesoło, a tu teraz ciężkie czasy.
Miejskie panie z biedy noszą coraz droższe suknie, pasy,
Kapelusz jak młyńskie koło, w te szkaradne ciężkie czasy,
W karnawale grzmi muzyka, piszczą skrzypki, huczą basy,
Jaki taki podskakuje, bo nastały cieżkie czasy.
Po karczmiskach w każdej porze oblężone są szynkwasy.
Piją ludzie na „zgryzotę“, że nastały ciężkie czasy.
Rząd podwyższył tytoń, wódkę, by napełnić puste kasy,
Więc smarkacze piją, palą, wszak to teraz ciężkie czasy.
Gmachy sądu oblężone, za „pyskówki“ skarg są masy,
Każdy sobie honor pierze z nudów, że są ciężkie czasy.
Powiedz komu: Weź gazetę, bąknie słowo jak z pod prasy:
— Czyś oszalał, grosza niema, a tu coraz ciężkie czasy.
Hej narodzie! źle się dzieje, czas porzucić te grymasy.
Trza w głupocie ustatkować, nim nadejdą ciężkie czasy.

Franciszek Adamski.

Kulawy dziad.

Podczas wiosny w jednej wiosce, na samym końcu pod lasem, stała chata. Można ją było zaliczyć nie do najuboższych chat całej wsi. Znajdowało się w stajni parę pięknych koni i ładny prosiak chował się w chlewie; parę morgów pięknego pola należało do chaty a w skrzyni była także spora garść dukatów.

Chłop jak topola wysoki, młody i rzeźki do pracy, baba także jeszcze młoda, hoża i przystojna kobieta a dziatek czworo biegało i bawiło się.

Słońce przechyliło się już dobrze z południa, miało się ku wieczorowi. Drogą od wsi szedł kulawy dziad i skierował swoje kulawe kroki prosto ku owej chacie, chacie sknerów, jak ich we wsi nazywano, z powodu że kobieta owej chaty była wielka sknera.

Słońce prawie skryło się za las i poczęło się ściemniać, gdy dziad stanął na progu chaty.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków Amen! — odpowiedziała kobieta, zerkając oczyma na dziada.

Dziad poprosił o nocleg i został na noc.

Kiedy rozsiadł się na ławie, poprosił o ziemniaki i garczek i nastawił to na kominie. Gdy się ziemniaki poczęły warzyć, wyjął jakąś szmatę z torby i włożył w garczek a po chwili schował. Baba zerknęła do garnka i zobaczyła w nim coś na wodzie podobnego do okrasy.

Po wieczerzy ułożyli się wszyscy do snu, ale baba całą noc mało spała, lecz przemyśliwała nad tem, czem dziad ziemniaki omaścił.

Na drugi dzień chłop pojechał w pole przygotować rolę pod zasiew, a baba ugościła dziada i poczęła go wypytywać o tajemnicę omasty. Dziad nie chciał się zdradzić, ale gdy go zaczęła prosić, aby jej wykrył tajemnicę i odstąpił tę cudowną okrasę, dziad się zgodził na to za wynagrodzeniem 100 koron. Baba ucieszyła się, że nabyła tak tanią na całe życie omastę, wyliczyła więc dziadowi 100 koron i jeszcze obdarzyła go, czem mogła. Dziad kontent, że mu się nadarzyła taka sposobność oszukania baby, śmiał się z niej tylko w duchu. Wkrótce pożegnał się z babą i spiesznie znikł w lesie, jak kamfora.

Baba po jego odejściu postanowiła zrobić próbę z ową cudowną szmatą. Jakież jednak było jej strapienie, gdy przekonała się, że była to zwykła szmata, bez żadnych cudownych własności a ona padła tylko ofiarą swej głupoty. *Jędrzej Czarnik.*

Nowe książki.

Do pamiętnika. Zbiór wierszy do albumów, pamiętników, pocztówek, listów i książek podarunkowych w dzień urodzin, imienin, bierzmowania, komunii św., ślubu i t. p. Nakładem Księgarni »Stella« w Cieszynie 1914 r. Cena 1 K. 20 h.

Pod powyższym tytułem ukazała się książeczka, zawierająca 500 krótkich wierszy rozmaitych poetów, która będzie każdemu wielkiem ułatwieniem przy wpisywaniu się do pamiętników i t. p. Z tak wielkiej ilości wierszy tego rodzaju każdy wybierze sobie łatwo stosowny dla siebie.

W albumie miłości i przyjaźni. Zbiór najpiękniejszych wierszy do pamiętników, albumów, pocztówek i listów. Nakładem księgarni »Stella« w Cieszynie. Cena 60 h.

Podobną do pierwszej przeznaczeniem jest i ta druga książeczka; różni się jednak od niej, gdyż zawiera w sobie więcej wierszyków miłosnych, a więc przeznaczona jest przedewszystkiem dla zakochanych.

Rozmówki polsko-niemieckie w życiu praktycznem. Nakładem księgarni »Stella« w Cieszynie. Cena 90 halerzy.

Dla każdego, kto wyjeżdża do Prus, Ameryki i t. p. książeczka ta okaże się niezbędna. Są w niej różne pytania i odpowiedzi, łatwe do wyszukania, z których wrazie potrzeby łatwo korzystać. Przejrzysty i praktyczny układ czynią książeczkę ową bardzo pożyteczną.

Władysław Jeziorski: **Śpiewnik narodowy.** Wydanie II. Nakładem Koła »Macierzy szkolnej« w Polskiej Ostrawie. Cena 40 h.

Jest to zbiorek najpopularniejszych piosnek patryotycznych w liczbie 116. Dla miłośników śpiewów narodowych jest to książeczka nieoceniona, nie powinno jej więc zabraknąć w żadnym domu polskim.

Samouczek techniczny. Wydawnictwo popularno-naukowe. Nakład Bolesława Londyńskiego i Spółki. Warszawa.

Pod powyższym tytułem ukazało się kilka broszurek bardzo pouczających i ciekawych, w cenie od 20 hal. do 30 hal. Nr. 1. zawiera: Jak urządzić sobie samemu telegraf bez drutu; nr. 2.: Induktor, przyrząd do wywoływania iskier, podręcznik ilustrowany, niezbędny dla osób, które sobie same sporządzają telegraf bez drutu; nr. 3.: Akumulatory, przyrządy do nagromadzenia siły przy robocie przerywanej; nr. 4.: Jak się buduje aparat fotograficzny; nr. 5.: Jak się fotografuje?; nr. 6.: Telegraf Morse'a; nr. 7.; Jak się zaprowadza telefon domowy?; nr. 15.: Ogniwa i baterye galwaniczne; nr. 16.: Motory elektryczne; nr. 17.: Budowa latawca.

Każda z tych książeczek zawiera kilka, kilkanaście a nawet kilkadziesiąt rysunków w tekscie.

Książeczki nr.: 2, 6, 15 i 16 kosztnją po 20 hal., nr.: 3, 4 i 5 po 25 hal., zaś nr. 1, 7 i 17 po 30 hal. Wszystkie pisane są przystępnie, zrozumiale, a więc może z nich korzystać każdy i omawiane w nich rzeczy dla samego siebie zastosować.

Ktoby chciał sobie którą z tych książeczek nabyć, najlepiej to uczyni wprost w Księgarni »Stella« w Cieszynie (Śląsk austryacki), skąd mu je na żądanie wyszlą pocztą.

JULIUSZ PRUS.
(Ludwik St. Unsing).

Błędy życia.

Powieść*).

I.

BARTŁOMIEJ I JEGO SYN.

Tak jak losy ludzkiego życia toczą się wkoło jednostajnie, gdy po radości nastają dni smutku, po pracy spoczynek, jednych nawiedza szczęście, drugich znów niedola przytłacza, albo szczęście jednego, jest nieszczęściem drugiego, jeden zarabia drugi traci; ktoś oszczędza, ktoś znów przepija, tak i w naturze toczy się wszystko niezmienną koleją, choć rozmaicie.

Naprzód wschodzi słońce, a potem zachodzi, po deszczu nastaje pogoda, po wiośnie, lato gorące, burzliwe, potem jesień, zima. Naprzód pada deszczyk, potem jest ulewa i pioruny, potem dnie dżdżyste, nieprzyjemne, wkońcu śnieg...

Czeka się wtedy zazwyczaj tych miłych dni wiośnianych, kiedy to słoneczko krasi się na wschodzie purpurą i złocistych swych a ciepłych promieni użycza naturze, która zielenieje i ludziom niesie otuchę, by nowej nabierali nadziei i chęci do życia.



...gra tylko Chrystusowi Panu.

Poza tem niema nigdy nic nowego, chyba jakaś klęska żywiołowa, gdzieś wojna, lub trzęsienie ziemi, pożar lub powódź, albo też zaraza, czasem nieurodzaj, więc bieda, ale i to stara historya, powtarzająca się na świecie dość często.

A człowiek, wobec klęski, zapomina, że niekiedy jest szczęśliwym, o niedoli pamięta długo i dlatego zdaje mu się, że ciągle źle i ciężko na świecie.

Lecz kiedy nastaje wiosna, kiedy od ziemi do nieba wszystko radośnie wygląda, wtedy jaki taki ożywia się, wracają wspomnienia lepszej doli i jakoś pcha się taczkę losu naprzód.

Tak dzieje się na całym świecie, gdzie tylko zaglądniesz, chyba, że człowiek, poddawszy się nieszczęściu, stracił już tę nadzieję, co innych ożywia i wzmacnia.

Wioska Z., roztacza się szeroko; zaczyna się na równinie, przy gościńcu, a kończy się u skraju lasu, na chałupie Bartłomieja.

Wszystko cieszy się wiosną, idzie ochoczo w pole do orki, słychać śmiechy dziewcząt, śpiewki parobczaków, czasem wół ryknie, koń zarży radośnie — ot, zwyczajna, wiośniana uciecha. Tylko stary Bartłomiej jest smutny, oczy ma szklane, załzawione, a patrzące w ziemię, siwą brodę, zmarszczki na czole i twarzy i odzienie stare.

Kiedyś grał często na skrzypcach, ale od dłuższego czasu, pod brzemieniem troski, gra tylko Chrystusowi Panu, rozpiętemu na omszałym i przegniłym krzyżu, wkopanym w ziemię przed laty, nieopodal lasu a jego chałupy. Tam tylko chodził Bartłomiej co rano, brał skrzypce pod pachę i sęczek w rękę — pod krzyżem stroił instrument mechanicznie, pociągał smyczkiem po strunach i wydobywał z nich tony takie dziwne, że chyba on jeden mógł rozumieć. A rozumiał widocznie, bo wnet łzy spływały mu po policzkach, poczem odkładał skrzypce, obejmował rękami podstawę krzyża, jak niegdyś Magdalena na Górze stracenia i wymawiał żałośnie:

— O Jezu, Panie, zmiłuj się nademną...

A na to odpowiadał mu wiatr, szemrzący wśród wierzchołków lasu, ćwierk wróbli i czasem pozdrowienie przechodzącego człowieka:

— Niech będzie pochwalony...

Ale Bartłomiej nic nie słyszał, oprócz szumu w uszach i zgiełku w duszy i nic nie widział, krom omszałej i przegniłej podstawy krzyża.

Dziwny to był człowiek.

Dawniej, Bartłomiej był wójtem, był dumnym i strzelał czasem głupstwa, ale ludzie mieli go za mędrca i radzili się go. Bartłomiej rad udzielał, ale od ludzi trzymał się zdaleka — miał już w sobie taką pańskość.

Żydów nie lubił, nie dlatego, że byli żydami, ale dlatego, że byli panami, a chłop durny był dziadem, że żydzi, jednoczyli się na całym świecie, zagarnęli handel i żyli zgodnie ręka w rękę, a chłop durny był pijak i awanturnik, procesował się o byle głupstwo, nie umiał handlować i dał się oszukać. Dlatego Bartłomiej nieraz zwoływał zgromadzenia na współkę z proboszczem i nawoływał do rozumnej gospodarki, do trzeźwości i organizowania się w kółka rolnicze.

Miał jednak wadę: Lubił używać i nadużywać. Jak jadł to jak hrabia, jak grał w karty, to grubo, jak znów pił, to na wyścigi, bez pamięci i rachunku.

Proboszcz, który lubił Bartłomieja, często strofował go za to, ale Bartłomiej, zostawał zawsze Bartłomiejem, choć obiecywał poprawę.

Oprócz niezgorszego gospodarstwa, miał on jeszcze syna Franka. Tak, jak gospodarstwo Bartłomieja, niekiedy bardzo lekkomyślnie prowadzone, tak prowadzonym był syn jedynak, który odziedziczył po ojcu, pańską, ale i zarazem, bardziej lekkomyślną naturę.

Co robił Bartłomiej, robił też i Franek, tylko, że stary ograniczał się więcej i starał się zło swoje ukryć, młody nie ograniczał się nigdy i nic nie ukrywał. Ojciec zaglądał na mszę i odbywał spowiedź, syn brykał w domu Bożym i szczypał dziewczęta.

Proboszcz znowu strofował Bartłomieja za złe prowadzenie syna, a Frankowi mówił:

*) Przedruk w formacie książkowym, oraz tłómaczenie na język ruski, wzbronione.

— Nie igraj z Panem Bogiem!
Bartłomiej machnął ręką, syn się wyśmiał, poczem jeden klął na żydów i myślał o rolniczych kółkach, drugi o dziewczętach.

II.

PIERWSZE CHMURY.

Wieś była zamożna i leżała w pobliżu dużego miasta, z którego od czasu do czasu schodzili do wsi muzykanci, grać w karczmie na zabawie. Z tej też racyi, że muzyka była dobra, bawili się młodzi prawie co niedzieli, zaś każdej zabawie przewodniczył Franek.

Ale młodzież męska nie lubiła go z dwu przyczyn: że żył zanadto z pańska, mógł używać choć, nic nie robił i że otumaniał dziewki, które za nim przepadały.

Wkrótce też miało to swoje następstwa: Z niedzieli na niedzielę wzrastał niesmak; dziewki bowiem, posiadłszy znajomość urodziwego Franka, mierzyły innych z góry i bawiły się tylko z Frankiem, który fundował, był wesoły, miał w sobie rozkosz i ogień w żyłach, co burzył krew dziewczyny i mącił zmysły.

Nic dziwnego, że dusze męskiej młodzieży omotała skryta zazdrość i nianawiść, a w następstwie zastrajkowano i niejeden przestał myśleć o swojej wybrance.

Inaczej sprawa przedstawiała się dziewczętom, a inaczej ich rodzicom. Z jednej bowiem strony psuły się im córki, stawały się jakieś dumne i nieposłuszne, z drugiej zaś traciły starających się o ich ręki, ludzi odpowiednich stanowi i uczciwych, którymi gardziły. Dlatego nawoływali swe córki do za stanowienia, albo zabraniali wprost brać udział w zabawie, na której będzie Franek. Ponieważ słuszne uwagi rodzicielskie spotykały się z uporem a często z płaczem i wyrzutami, znienawidzono we wsi Franka, a z nim i Bartłomieja.

Franek, wnet spostrzegł nienawiść swoich rówieśników, często zmuszonym był znosić naigrawające spojrzenia, a czasem wyrządzoną mu złośliwą psotę wziąć musiał za żart, lub przypadek, ale wśród tego niesmacznego bigosu, trzymał zawsze głowę do góry i szyderczą minę, choć wrzało w nim jak w kotle.

Ma się rozumieć, że do karczmy chodził i hulał jeszcze więcej, a choć tej lub owej dziewczyny brakowało, zawsze było jeszcze w czem wybrać, a nawet przebrać. (Ciąg dalszy nastąpi).

Podanie o zamku w Chodakówce.

Mała wioska Chodakówka, licząca około 25 domów, jest oddalona o 5 km. od Kańczugi. W południowej stronie wsi są dosyć znaczne wyniosłości, a wśród nich znajduje się przestrzeń kilkunasto-morgowa zwana „górą“. Owa góra otoczona jest z trzech stron skalistemi, przepaścistemi wzgórzami, z najeżonymi ostro szczytami.

Na tej „górze“ znajdują się ruiny zamku, niegdyś bardzo obronnego. Zamek ów zbudowany był w czworobok i miał dwie wieże od strony zachodniej i południowej, zaopatrzone w bramy i mosty zwodzone. W dziedzińcu zamkowym była ogromnie głęboka studnia. Zamek ten pierwotnie był w posiadaniu rodziny Tarłów, a w XV wieku wskutek małżeństwa przeszedł w posiadanie rodziny Pileckich. Ci przebywali w nim tylko w czasie łowów. Z powodu swej obszerności mógł pomieścić kilka tysięcy ludzi.

To też okoliczna ludność chroniła się doń w czasie napadu tatarskiego z bydłem i z całym dobytkiem.

Do zamku przypierał ogromny sad, dostarczający smacznych i rzadkich owoców. Pod zamkiem były piwnice, a od nich prowadziły dwie podziemne drogi, jedna przez wzgórza Siedleczki i Kańczugi, kończąca się na przedmieściu kańczudzkim, a druga przez lasy hussowskie w głąb lasów Tarnawki. Te drogi podziemne służyły do zaopatrywania zamku w żywność w czasie oblężenia.

W czasie ostatniego napadu tatarskiego w XV wieku, schroniła się tu okoliczna szlachta i mieszkańcy.

Między schronionemi w zamku kobietami, wyróżniały się trzy bardzo urodziwe księżniczki. Okolice zrabowali i spalili Tatarzy. Dziwili się oni, gdzie się schowali mieszkańcy z dobytkiem.

Trzy dni obozowali na zgliszczach Kańczugi i znikąd nie mogli się o tem dowiedzieć. Dopiero trzeciego dnia, jeden oddział tatarski umyślnie do przeglądu lasów wysłany, przyprowadził brankę, imieniem Maryna. Owa Maryna była cudnej piękności z czarnemi jako kruk włosami i takiemiż oczyma. Ujrzawszy ją han tatarski, kazał urządzić dla niej mieszkanie bardzo wspaniałe w jednym z pozostałych domów, otoczonym pięknym ogrodem i lipami na zachodnim krańcu miasta Kańczugi, gdzie obecnie znajduje się rola „Na podkamieniu“. Ściany mieszkania ubrano w najkosztowniejsze kobierce i dywany a brankę przyodziano w najpiękniejsze szaty. Dostarczono jej wszystkiego, czego tylko zapragnęła, ale pilnie strzeżono i ktoby śmiał płot przekroczyć koło jej mieszkania, miał być śmiercią ukarany.

Jak wieść niesie, miał sie znajdować w orszaku hana Rusin statarzony, który przedarł się do niej w nocy, oświadczył jej swą miłość i obiecał jej, że się z nią ożeni. Z początku niedowierzała branka, ale stopniowo nikła nieufność, gdy co nocy odwiedziny jego przyjmowała. Owa branka, Maryna, zwierzyła się przed nim ze wszystkiego i zdradziła ów podziemny chodnik o który głównie Tatarom chodziło. Ci, dowiedziawszy się o tem, zaraz następnej nocy zrobili zbrojny napad na zamek, ludność, która się tu schroniła w pień wycięli, kosztowności wszelkie zrabowali, a zamek sam spalili. Owe trzy piękne księżniczki wskoczyły do studni dla uniknięcia hańby i sromotnej niewoli.

Tatarzy, spaliwszy zamek, dom na Podkamieniu, mieszkanie branki zburzyli, a ją na wolność wypuścili. Później zamieszkała owa branka Maryna we wsi Sieteszy, ale żyła zawsze ubogo. Mieszkał chłop w Sieteszy, który był gajowym w Chodakówce. Ten opowiadał że corocznie w dzień owego wypadku, o 12 w nocy, wychodzą owe trzy księżniciczki ze studni, zrywają kwiaty i wiją wieńce. A gdy leżał na śmiertelnej pościeli, zwołał wnuki i dzieci i opowiedział im, jak mu te trzy księżniczki we śnie oświadczyły:

— Maryna branka tatarska odkryła swemu kochankowi, statarczonemu Rusinowi, podziemną drogę z przedmieścia do zamku. Ona była przyczyną śmierci tysięcy mężów, kobiet, dzieci i naszej.

To powiedziawszy, zniknęły. Gdy ów gajowy umarł, ludność rozgoryczona napadła na dom branki, zrabowała go, a samą brankę Marynę wyprowadzono w pole i na stosie ułożonym z drzewa, z jej rozebranego domu spalono. Pole to nazywało się „Na spalonej babci“ i należało do obszaru dworskiego w Lipniku. Zwaliska zamku dostarczały pamiątek jak n. p. odłamków strzał, dzid, kul kamiennych, ogniw łańcuchów, małych kulek podobnych do paciorków różańca a mówią, że znajdowano w okolicy zamku złote podkowy końskie. Dzisiaj ze zamku nie pozostało znaku, a owa legendarna, czyli historyczna „góra“ jest ornym gruntem. *P. Wenc.*

Ś. p. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand.

Zamordowany w niedzielę w Serajewie arcyksiążę Franciszek Ferdynand (Karol Ludwik Józef Marya) był najstarszym synem zmarłego w roku 1896 drugiego brata cesarza, arcyksięcia Karola Ludwika, z jego drugiego małżeństwa z Maryą Anuncyatą, córką Ferdynanda II króla obojga Sycylii. Zamordowany urodził się w dniu 1 marca 1868. — liczył zatem 46 lat życia. Jak wszyscy członkowie domu panującego, otrzymał najstaranniejsze wychowanie, poczem poświęcił się służbie wojskowej. Jako bratanek cesarza, o dziesięć lat młodszy od jego syna — następcy tronu arcyksięcia Rudolfa (urodzonego w roku 1858) nie wchodził w kombinacye odnośne do dziedzictwa tronu Habsburgów. To też tragedya w Meyerlingu w dniu 30 stycznia 1889, której ofiarą padło młode życie arcyksięcia Rudolfa, zastała ś. p. arcyksięcia Franciszka Ferdynanda dość nieprzygotowanego do wzniosłej misyi, jaka mu przypadła w udziale według sankcyi pragmatycznej, normującej porządek dziedziczenia w monarchi austryacko-węgierskiej.

Dwudziestoletni zaledwo arcyksiążę Franciszek Ferdynand, odbywający wówczas jako kapitan służbę przy jednym z pułków piechoty, zabrał się z całym zapałem do pracy. Drogą sumiennych, wyczerpujących studyów, zapoznał się z całym skomplikowanym trybem życia państwowego i politycznego w monarchii.

Zmarły książę był wybitną osobistością. Ku niemu zwracały się tęsknie nadzieje ludzi, pragnących odrodzenia tej monarchii. Zwłaszcza armia lądowa i morska ma jemu wiele do zawdzięczenia. Dzięki jego energicznej inicyatywie rozpoczął się przed blizko 10 laty proces reorganizacyi armii, trwający bez mała do dni dzisiejszych.

W polityce zagranicznej i wewnętrznej arcyksiążę brał żywy i niejednokrotnie wybitny udział. Zajmował się żywo wszystkiemi kwestyami życia państwowego, a osoby, stojące blizko jego dworu w Belwederze, chwaliły jego jasny, niezmącony niczem pogląd na sprawy bieżące. Do narodu polskiego odnosił się z wielką sympatyą, o czem świadczą znane przyjacielskie zażyłe stosunki i częste wizyty u magnatów polskich w Galicyi. W ostatnich czasach książę żywo interesował się polskim ruchem wojskowym a jego gabinet wojskowy żywy utrzymywał kontakt z kierownikami tego ruchu.

Rusini galicyjscy mieli w zmarłym następcy tronu również gorącego orędownika spraw swoich. Opowiadają, że pomyślne załatwienie ugody polsko-ruskiej w dużej mierze zawdzięczać należy energicznej inicyatywie arcyksięcia.

W życiu prywatnem zmarły arcyksiążę był wzorem męża i ojca. Po za swojem stanowiskiem urzędowem żył tylko wyłącznie dla swej rodziny. Czy to w Belwederze, w Wiedniu, czy to w uroczym zamku czeskim Konopiszt, zawsze i wszędzie był w otoczeniu swej żony i dzieci.

Czuły, wzruszający stosunek łączył zwłaszcza zmarłego arcyksięcia z jego małżonką, księżną Zofią Hohenberg, która przy jego boku padła ofiarą kul rewolwerowych fanatycznego Serba Principa.

Zmarły arcyksiążę, kawaler niemal wszystkich orderów krajowych i zagranicznych, właściciel licznych pułków naszych i obcych był od lat 10-ciu jeneralnym inspektorem całej siły zbrojnej monarchii. Wszystkie większe manewry odbywały się pod jego komendą — na ostatnich padł od kuli mordercy. Zginął na posterunku jak żołnierz.

S. p. Księżna Zofia Hohenberg.

Księżna Hohenberg, z domu hrabianka Chotek, była damą dworu i towarzyszką najstarszej córki arcyksięcia Fryderyka, arcyksiężnej Henryki (urodzonej w Krakowie) obecnie małżonki księcia Gotfryda Hohenlohego, upatrzonego na ambasadora w Berlinie. Arcyksiąże Franciszek Ferdynand bywał częstym gościem na dworze arcyksięcia Fryderyka w Preszburgu, gdzie tenże był komenderującym jenerałem. Tam poznał uroczą hrabiankę Chotekównę, poznał i pokochał. Mimo piętrzących się trudności pojął ją za żonę, przyczem zaznaczyć należy, że sędziwy monarcha jako głowa rodziny z całą wyrozumiałością ocenił i załatwił tę, tak trudną sprawę swego synowca i dziedzica korony. Hr. Chotekówna otrzymała od cesarza dla siebie i swego potomstwa tytuł księżny Hohenberg z tytułem »Wysokość« a na dworze otrzymała rangę tuż po arcyksiężniczkach. Księżna kobietą słynnej urody, była dla swego małżonka towarzyszką życia w najszczytniejszem tego słowa znaczeniu. Następca tronu miał w niej wiernego towarzysza swej pracy, a wtajemniczeni wiedzą, że żadna decyzya nie zapadła w Belwederze bez jej wiedzy i zatwierdzenia.

Księżna Zofia Hohenberg (dawniej hrabianka Chotek von Chotkowa und Wognin) urodziła się w r. 1863 — była zatem o 5 lat starszą od swego małżonka. Małżeństwo (morganatyczne) zostało zawarte w Reichstat w dniu 1 lipca 1900. Z małżeństwa było troje dzieci.

Obecny Następca tronu

Arcyksiążę Karol Franciszek Józef.

Na zasadzie sankcyi pragmatycznej następstwo tronu przypada obecnie arcyksięciu Karolowi Franciszkowi Józefowi. Obecny następca tronu urodził się w Gersenbeug 17 sierpnia 1887 — liczy zatem 27 lat. Jest synem arcyksięcia Ottona (zmarłego w r. 1906), młodszego brata zamordowanego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Matka jego arcyksiężna Marya Józefa, siostra króla saskiego, żyje w Wiedniu — rezydencyą jej jest Augarten Palais. Arcyksiąże Karol Franciszek Józef jest obecnie majorem 39 pułku piechoty w Wiedniu. W dniu 21 października 1911 ożenił się w Schwarzau z arcyksiężną Zytą, córką księcia Parmy, Roberta. Arcyksiężna Zyta liczy obecnie 22 rok życia. Para arcyksiążęca ma dwoje dzieci: syna Franciszka Józefa Ottona (ur. 20 listopada 1912) i córkę Adelaidę (ur. 30 stycznia 1914).

Obecny następca tronu zna dokrze nasz kraj, gdyż blizko przez półtora roku był w Kołomyi rotmistrzem kawaleryi. W Krakowie bawił przez 2 dni w czerwcu 1912 r. i przyjmowany był uroczyście. Jego ujmujące obejście zyskało mu wówczas sympatyę ludności naszego miasta.

---o---

Z TYGODNIA.

Posłem z okręgu Jasło-Gorlice i t. d. został wybrany prof. Wł. L. Jaworski.

Narady polskie w Wiedniu. Prezes Koła polskiego, Dr Leo. konferował w tych dniach z prezydentem ministrów, z ministrem robót publicznych i z kierownikiem ministerstwa skarbu. Po konferencyach z ministrami zebrało się prezydyum Koła polskiego. W dyskusyi omawiano opłakane stosunki gospodarcze kraju i ubolewano, że w gabinecie niema obecnie ani jednego ministra Polaka. Niczego jednak pozytywnego na razie nie uchwalono.

Rokowania ugodowe w Czechach trwają w dalszym ciągu. Nastąpiło nawet pewne chwilowe zbliżenie między Czechami a Niemcami, do którego przywiązywano wielkie znaczenie, a nawet obiecywano sobie po niem zwołanie parlamentu w lecie. Najprawdopodobniej jednak nic z tego nie będzie.

Samorząd miejski w Królestwie. Rząd rosyjski po raz drugi przedstawił Dumie do uchwalenia ustawę o zaprowadzeniu samorządu miejskiego w guberniach Królestwa Polskiego. Nowa ta ustawa niczem się nie różni od tej, którą Duma trzy miesiące temu już była uchwaliła, a którą Rada państwa następnie odrzuciła. Zapewne więc Duma, pod której obrady ustawa wejdzie, zdaje się, uchwali ją i tym razem, ale jak się zachowa Rada państwa, trudno z góry przewidzieć. Zdaje się jednak, że pod naciskiem rządu, a na wyraźny rozkaz cara na samorząd zgodzi się.

Sądy doraźne w Serajewie. Ponieważ w stolicy Bośni, Sarajewie, po morderstwie wybuchły przeciwko zamieszkałym tamże Serbom rozruchy, przeto ogłoszono w mieście sądy doraźne, a władzę nad miastem objął, w porozumieniu z komisarzem rządowym, brygadyer pułkownik Schmarda. Władza wojskowa spełniać będzie wraz z komisarzem rządowym służbę bezpieczeństwa w mieście.

W Albanii stan ciągle niezmieniony. Odbywają się walki w różnych okolicach ze zmiennem powodzeniem, przeplatane rokowaniami, które jednakże nie przynoszą rezultatu. Tymczasem we Wieduiu malarz Gurschner począł werbować na własny koszt ochotników do Albanii. Już w pierwszych dniach zgłosiło się ich kilkanaście set. Przyjmowano tylko wysłużonych żołnierzy. Morderczy zamach na następcę tronu nie pozostanie zapewne bez skutków i w Albanii.

Zatarg grecko-turecki, który groził wybuchem nowej wojny między temi mocarstwami, teraz znacznie złagodniał, choć niewiadomo, czy na długo. Przyczyniły się do tego przedstawienia, poczynione obu rządom przez wielkie mocarstwa, którem wojna byłaby nie na rękę, a także pojednawcza postawa Turcyi, nieprzygotowanej znać jeszcze do wojny. Na pismo rządu greckiego, domagające się w ostrych słowach zaprzestania dalszego prześladowania Greków w Azyi Mniejszej i wynagrodzenia ich za poniesione straty, rząd turecki odpowiedział, że w wiadomościach o tych prześladowaniach, jest dużo nieprawdy i przesady, że ucieczka Greków z Azyi Mniejszej była wywołana przybyciem tam więcej niż dwustu tysięcy mahometan wydalonych z Macedonii, że rząd turecki poczynił już odpowiednie zarządzenia, aby zapobiedz wszelkim zajściom i gwałtom i powstrzymać Greków od tłumnego wychodźctwa, a tych, co uciekli, wzywa do powrotu i zaręcza im bezpieczeństwo. Do Azyi Mniejszej wyjechali przedstawiciele niektórych mocarstw, aby zbadać, o ile skargi Greków są słuszne.

KRONIKA.

Wypadek Ks. Biskupa Sapiehy. W ubiegłym tygodniu po dokonaniu wizytacyi parafii w Zabierzowie pod Niepołomicami, udał się książę biskup do Kłaja, gdzie miał dokonać poświęcenia nowo wybudowanej kaplicy. Ludność postanowiła powitać uroczyście przybywającego biskupa; w tym celu na spotkanie wyruszyła liczna procesya z chorągwiami oraz konna banderya włościańska. Kiedy z gościńca wjechały powozy w wąską uliczkę wiejską, prowadzącą do kaplicy, spotkano się z procesyą, która tu czekała przybycia ks. biskupa. W uliczce zapanował ścisk, a kiedy banderya, towarzysząca jego powozowi, mimo zakazu, wjechała w uliczkę, powstał pomiędzy pieszymi i jezdnymi, tłoczącymi się w uliczce, popłoch. Konie jeźdźców, niespokojne, zaczęły się wyrywać, unosić i brykać. Jeden z jeźdźców, który był dosiadł gorącego i niespokojnego konia, gdy znalazł się tuż koło powozu, w którym siedział książę biskup, nie mógł już opanować swego wierzchowca. Spłoszony koń począł wierzgać i naraz uderzył boleśnie kopytem księcia biskupa w prawy bok. Uderzenie było silne i spowodowało dotkliwy ból. Jednak książę biskup, jakkolwiek bliski omdlenia, opanował się prędko i w kilku słowach uspokoiwszy lud, który przerażony wypadkiem, tłoczył się, zawodząc koło powozu, udał się do kaplicy, poczem dokonał jej poświęcenia. Jedynie tylko kazanie okolicznościowe wygłosił za ks. biskupa X. prałat Ślepicki. Zawezwany lekarz z Niepołomic stwierdził, że wskutek uderzenia ks. biskup nie doznał obrażeń wewnętrznych. Po tym wypadku oczywiście dalszych wizytacyi zaniechano i ks. biskup Sapieha powrócił koleją do Krakowa. Przywołany lekarz zalecił choremu wstrzymanie się na pewien czas od zwykłej pracy i spokój, zapewniając rychły powrót do zupełnego zdrowia.

Jubileusz ks. Biskupa Pelczara. Z powodu jubileuszu ks. Biskupa Pelczara, sufragan ks. Biskup Karol Fischer wydał list do dyecezyan, wzywając ich do odpowiedniego uczczenia tej pięknej dla dyecezyi uroczystości. Ponieważ jubilat sam nie pragnie głośnego obchodu jubileuszu, przeto nie będzie w dzień jubileuszu w rezydencyi swej przyjmował gratulacyi i życzeń. List wzywa więc wiernych dyecezyan, aby w inny sposób uczcili jubileusz Arcypasterza, mianowicie przez gorące za niego modlitwy, liczny udział w solennych Mszach św., jakie odprawione będą w całej dyecezyi w dniu 19 lipca na intencyę jubilata, a dalej przez stworzenie zbożnego dzieła, miłego jego sercu. Dziełem tem ma być zebranie znaczniejszego funduszu na budowę kościołów i kaplic w tych parafiach dyecezyi, gdzie wsi rozrzucone są na wielkiej przestrzeni między parafiami drugiego obrządku. Nie wątpimy, że ten apel ks. Biskupa Fischera do ofiarności na taki cel ku uczczeniu zasłużonego Biskupa jubilata znajdzie żywe echo nietylko wśród wiernych dyecezyi przemyskiej. Bo zasługi ks. Biskupa Pelczara znane są i wysoko cenione w całej Polsce.

Krwawy zlot Sokoli w Białej. Zlot Sokołów polskich był zapowiedziany w Bielsku, na Śląsku austryackim, które to miasto jest oddzielone od Białej tylko rzeką, na ubiegłą niedzielę. O godzinie 11 przedpołudniem około 8 tysięcy ludzi uszykowało się w Białej w pochód i ruszyło do Bielska, ażeby udać się pod Dom Polski. Gdy jednak pochód doszedł do mostku, łączącego Białę z Bielskiem, policya nie dopuściła idących do Bielska. Po drugiej stronie rzeki Białki stała gromada Niemców w groźnej postawie, którzy na widok zbliżającego się pochodu poczęli gwizdać, wyć, oraz wymachiwać la-

skami i rewolwerami. — Dom Polski był zupełnie odcięty, a znajdowało się w nim wówczas tylko kilkunastu Polaków, wobec tego posłowie polscy i dziennikarze zwrócili się do komisarza policyi z żądaniem, by przepuścił przynajmniej do Domu Polskiego 4 delegatów, którzyby przekonali się, co się tam dzieje, krążyły bowiem pogłoski, że Niemcy urządzili tam straszną masakrę. Za zezwoleniem komisarza udali się prof. Olech, dziennikarz Matłosz, poseł Zamorski i Butkiewicz, otoczeni kordonem policyjnym w kierunku Domu Polskiego. Wtem nagle kordon policyjny rozluźnił się i wszyscy czterej delegaci zostali poprostu wydani na łup Niemców, którzy poczęli ich bić laskami, kastetami i pięściami. Poseł Zamorski uciekł. Pozostałych delegatów bito w dalszym ciągu. Wówczas stojący na mostku strażacy rzucili się na pomoc delegatom, utknęli jednak na ustawione przeciw nim bagnety żandarmów. Na stojących spokojnie Polaków, posypał się grad kamieni i jaj. Z drugiej strony robotnicy polscy starali się pospieszyć na pomoc Domowi Polskiemu i wysłanym delegatom. Komiasrz policyi Berdek jednak z obnażoną szablą na czele Niemców zaatakował robotników. Posypały się kamienie i tu po raz pierwszy polała się krew, przyczem kilkanaście osób odniosło rany.

W czasie gdy na mostku nad Białką tłum robotników starał się wypchać Niemców, natykając ustawicznie na bagnety żandarmów, delegat krak. okr. »Sokoła« Malec, zakomenderował odwrót »Sokołów«. — »Sokoli« po dłuższej dopiero chwili ruszyli z powrotem. Uniesiono kilkunastu rannych i ruszono z nimi na rynek. W drodze dwóch rannych zemdlało.

Gdy na rynku usiłowano urządzić wiec i rozpoczął przemawiać poseł Dobija, komisarz wezwał zebranych do rozejścia się. Równocześnie z domów niemieckich posypały się kamienie, z których kilka ugodziło żandarmów. Ci przybrali natychmiast pozycyę bojową i wymierzyli karabiny, a kilku policyantów rewolwery. W tej chwili na szczęście, komisarz pol. Zieliński, Polak, podbiegł do żandarmów i ruchem pałasza skierował karabiny w górę. Z domu niemieckiego padły w tej chwili dwa strzały rewolwerowe, na co tłum odpowiedział kamieniami. Wówczas policya urządziła szarżę. Tratowano kobiety i dzieci. Cały pochód zepchnięto na podwórze, gdzie dopiero odbył się wiec, na którym przemawiało kilku mowców.

(S. W.) **Pożar.** Z Wojnarowej w powiecie grybowskim piszą nam: W dniu 23 czerwca o godz. 9 rano, w czasie przeciągającej ponad tutejszą wioską burzy uderzył piorun w szczyt stodoły gospodarza Jana Wójcika i zapalił ją. W jednej chwili ogień ogarnął inne zabudowania gospodarskie, które też spłonęły doszczętnie. Ratunek wobec ogromnego żaru był bardzo utrudniony i tylko nadludzkim prawie wysiłkom udało się ogień zlokalizować, a niedopuścić go na sąsiednie budynki, które w wielkiem znajdowały się niebezpieczeństwie. Akcyą ratunkową kierował p. Franciszek Kapustka kierownik miejscowej szkoły, któremu też zawdzięczać należy, że pożar nie przybrał większych rozmiarów. Na miejscu wypadku zjawiła się straż pożarna Kółka rolniczego z Wilczysk, oraz ks. katecheta Kornaus. Dzielny ten kapłan niósł słowa pociechy dla nieszczęśliwych i zachęcał do energicznej obrony przed rozszalałym żywiołem. Z podziwieniem też spoglądali ludzie na niego, gdy wśród ognia i dymu służył wskazówkami i radami, aby jak najwięcej wyrwać dobytku ze strasznej pożogi. Szkoda wynosi 6.000 K., była zaledwie na 1.200 K. ubezpieczona.

Cudownie ocalony. W ubiegłym miesiącu cała Szczawnica była do głębi poruszoną. Rozeszła się wieść, że robotnika, prucującego w studni, pogrzebały gruzy. Nie pospieszono z ratunkiem, ponieważ nikt nie wierzył, że człowiek pod kupami kamieni żyć potrafi. Dopiero o 11 tutejsi górale wzięli się do pracy i o 3 usłyszeli słaby jęk. Żył pod gruzami i nadzieja uratowania go dodawała im sił. Pracowano niezmordowanie, ale z największą ostrożnością, aby nieopatrznie nie spowodować nowego zasypania. O godz. 6 wieczorem wyciągnięto całego zbroczonego krwią, z ranami na czole i całem ciele. Życie zawdzięcza cudowi. Miejscowe studnie budowane są z bloków kamieni, bez spoidła cementu. Ów robotnik, nazwiskiem Ruchałowski, chciał dostać ze starej, nieużytecznej już studni wiaderko. W tym celu spuścił się po łańcuchu, dotykając cembrowizny butami i spowodował katastrofę przez zesunięcie większego kamienia, który opadł mu na nogi. Z tej sytuacyi Ruchałowski nie mógł się już wydostać, gdyż całe masy poczęły się sypać, ale tak szczęśliwie, że kamienie utworzyły sklepienie ciasne, które go gniotło, ale nie zmiażdżyło. Przy akcyi ratunkowej odznaczyli się Malinowski, Majerczak, Podwykrota.

Otwarcie kółka przyrodniczego. Z Krasiczyna, w powiecie przemyskim, piszą nam: Ubiegłej niedzieli odbyła się w zamku krasiczyńskim uroczystość otwarcia Kółka przyrodniczego dla młodzieży szkolnej i oddziału Tow. ochrony zwierząt. Jest to zasługą ks. Władysławowej Sapieżyny, przewodniczej klubu ziemianek polskich, która, patrząc na zdziczenie obyczajów wśród nieoświeconej dziatwy wiejskiej w kierunku niszczenia gniazd i tępienia ptasząt, oraz dręczenia zwierząt, postanowiła chwycić się zaradczych środków. Na uroczystość tę przybyła dziatwa szkolna z Krasiczyna i okolicznych włości, dalej rzesza dorosłych włościan i włościanek i miejscowa inteligencya, pośród których zasiedli na zamkowem podwórzu oboje księstwo ze swoją rodziną. Do zebranych przemówił zaproszony ze Lwowa prezes gal. Tow. ochrony zwierząt, Józef Białynia Chołodecki, który podziękował ks. Sapieżynie za szlachetną inicyatywę i podjęte trudy, a zarazem wyłuszczył cel i zakres działania humanitarnej instytucyi. Sekretarka Tow. ochrony zwierząt p. Marya Mazurkówna wygłosiła okolicznościowy odczyt. Przewodnictwo nowej organizacyi objęła księżna Sapieżyna, obok niej weszli w skład wydziału pp.: Jadwiga Szyszkowska, kierowniczka szkoły, Jan Śmiałkowski, nauczyciel i naczelnicy gminni Piotr Kuczkowski, Michał Lemczyk, Michał Sabat, tudzież rolnik Iwan Kowal.

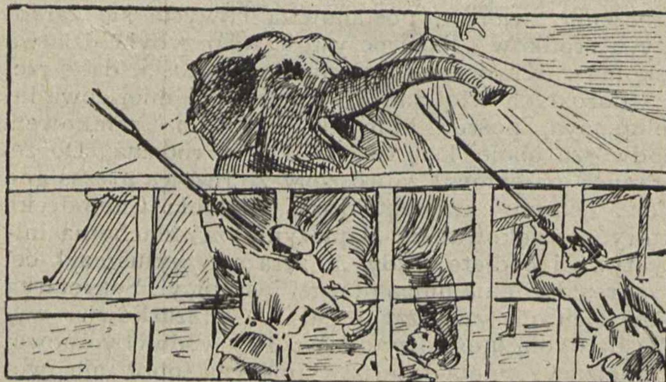
Piorun. Z Gródku na Śląsku donoszą: W sobetę dnia 13 ub. m. szalała nad naszą okolicą burza, w czasie której kilka razy słychać było silny grzmot i uderzenie piorunu. Krótko po obiedzie uderzył piorun w Annę Wawraczową, wdowę po Andrzeju Wawraczu. Zmarła wyszła na Zaolzie, aby tam u krewnej kopać, a gdy nadeszła burza, wracały właśnie z pola, niosąc kopaczki. Wtem uderzyło, Wawraczowa padła martwa na ziemię, a tuż za nią idąca. została nietknięta. Zwłoki zabitej przeniesiono do kostnicy na cmentarzu w Bystrzycy, gdzie też w poniedziałek odbył się pogrzeb.

Przedstawienie. Nowo założone »Stowarzyszenie Niewiast katolickich« w Dziedzicach na Śląsku austr. dało pierwszy znak życia, urządzając przedstawienie religijne »Bernadetta« czyli »Objawienie się Matki Boskiej w Lourdes«. W sztuce występowały prawie wyłącznie dzieci tamtejszej szkoły i odegrały role — można śmiało powiedzieć — wprost znakomicie. Szczera podzięka i wszelkie uznanie należy się paniom nauczycielkom, mianowicie p. Włodyżance

i p. Kasperlikównej, które bez wszelkiej pomocy całe dzieło od samego początku aż do końca poprowadziły.

Rozpaczliwy czyn matki. Żona zajętego w jednej z fabryk w Budapeszcie dozorcy Mikołaja Mosera zdawna już zdradzała oznaki pomieszania zmysłów, ponieważ jednakże wcale nie była niebezpieczną dla otoczenia pozostawiono ją w domu. Pewnego dnia jak zwykle Moser udał się do fabryki, pozostawiając w domu matkę staruszkę, żonę i pięcioro dzieci w wieku od lat sześciu do siedmiu miesięcy. Skutkiem drobnej sprzeczki z matką, Moserowa, widocznie pod wpływem silniejszego zaburzenia umysłu, powzięła rozpaczliwy plan. Korzystając z chwilowej nieuwagi staruszki, zabrała wszystkie dzieci i wyszła z niemi na podwórze, poczem kolejno wrzucała je do studni, a następnie z najmłodszem dzieckiem na ręku sama do niej wskoczyła. Na krzyk i płacz dzieci wybiegli sąsiedzi i rzucili się z pomocą. Dzięki pośpiechowi zdołano żywcem jeszcze wydobyć z wody troje dzieci i matkę. Stan ich jest bardzo ciężki, nie wyklucza jednak możności utrzymania ich przy życiu Dwoje natomiast pozostałych dzieci utonęło.

Szalony słoń. W pewnej wielkiej menażeryi zagranicznej, bawiącej obecnie w Odesie, rozegrała się przed kilku dniami wysoce denerwująca scena. Tego dnia, wczas rano, zauważył dozorca zwierząt, iż wielki sędziwy słoń menażeryi, zachowuje się jakoś nienormalnie. Naraz potężny zwierz dostał napadu szału, zaczął wściekle rzucać się po żelaznej klatce i wstrząsać grubymi prętami, jakby chciał się wyłamać z więzienia.



Wtedy niarozważny dozorca uderzył go mocno w trąbę. W jednej chwili słoń pochwycił trąbą dozorcę i rzucił go do klatki, pod swe stopy. I byłby nieszczęśliwy zginął pod stopami szalejącego zwierza, gdyby w krytycznym momencie nie nadbiegli ludzie, którzy nieprzytomnego wyrwali z pod nóg słonia. Tymczasem rozjuszony zwierz zaczął szaleć coraz straszliwiej. Wreszcie zarząd menażeryi, widząc, że niema innego wyjścia, kazał zastrzelić chore zwierzę. Wiadomo, że słonie na starość popadają często w szał nieuleczalny i stają się wówczas bardzo niebezpieczne dla otoczenia.

Złapał się. Pewien młodzieniec w Berlinie, przybywszy w ostatniej chwili na jeden z tamtejszych dworców kolejowych, znalazł wszystkie wagony zajęte. Młodzieniec, nie mogąc znaleść nigdzie wygodnego miejsca, postanowił chwycić się podstępu. Udając wyższego urzędnika kolejowego, doszedł do ostatniego wagonu i zawezwał znajdujących się w wagonie podróżnych do wysiadania, ponieważ wagon ten pozostanie na stacyi. Wszystko rzuciło się na łeb na szyję do wyjścia, by zdobyć miejsce w innych wagonach, młodzieniec tymczasem wsiadł sobie do jednego wagonu podróżnego przedziału i czekał z biciem serca na chwilę odejścia pociągu. Lecz pociąg nie ruszył. Naraz ukazuje się jakiś urzędnik kolejowy w oknie wagonu i pyta:

— To pan powiedział pasażerom, że wagon ten pozostaje na stacyi?

Młodzieniec przyznaje się do czynu. Na to urzędnik:

— Tak pan miał racyę, bo konduktor, uważając pana za urzędnika kolejowego, kazał odpiąć wagon i pozostawić na stacyi. — Pociąg już odszedł.

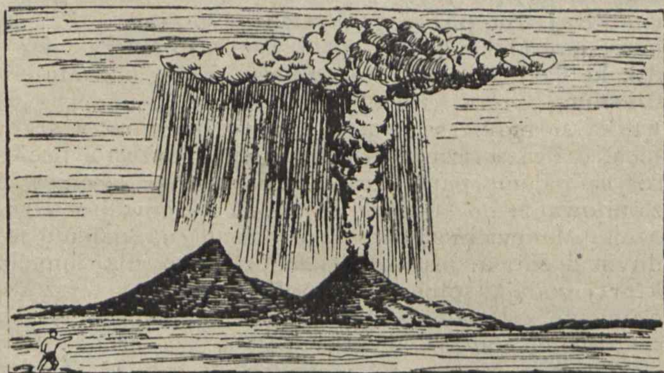
Golenie się na latawcu. Lotnik Conchelle założył się, że, lecąc w powietrzu, ogoli się bez obcej pomocy. Zakład wynosił 500 koron. Na polu lotniczem w Aspern zebrało się pewnego dnia wielu widzów, Conchelle wzniósł się do wysokości 1000 metrów i okrążając plac lotniczy namydlił się i ogolił. Aparat tymczasem kierował nogami. Po 21 minutach wylądował dobrze ogolony.

Ogniotrwałe ubranie. Niezwykłego wynalazku, który bardzo ważną rolę odegra w pożarnictwię, dokonał amerykański inżynier Martin Pannian. Wynalazek jego stanowi ogniotrwałe ubranie, w które wobec licznie zebranych tłumów i komisyi na jednem z podmiejskich placów w Cincinati wskoczył w ogień i przeszło minutę pozostał w płomieniach, zasłonięty zupełnie przed oczyma widzów dymem i palącemi się drwami. Wśród obecnych powstało pewne zaniepokojenie, obawiano się bowiem strasznych następstw śmiałej próby, kiedy nagle z ognia wychylił się Pannian zdrów zupełnie i bez najmniejszej rany na ciele. Ubranie, które osłania go całego, nawet twarz i ręce, sporządzone jest z materyi, składającej się z ogniotrwałych tkanin, pomiędzy któremi krąży woda. Pewne szczegóły swego ciekawego pomysłu trzyma jeszcze inżynier Pannian w ścisłej tajemnicy.

Górnicy polscy we Francyi. Pisma francuskie podają wiadomości o górnikach polskich pracujących w departamentach (prowincyach) graniczących z państwem niemieckiem. Jedna z gazet francuskich pisze: Wiadomo, że pochodzący z Prus Zachodnich i Śląska setki tysięcy robotników polskich i włościan osiadło w środowiskach górniczych w Westfalii. Pozbawieni wolności organizowania się, którą posiadają ich rodacy w Stanach Zjednoczonych, należało obawiać się, że ulegną ostntecznie germanizacyi i dlatego powzięto myśl wysłania ich dalej. W następstwie tegoż francuskie towarzystwo kopalni w Noeux, Aniché, Bethunes i Lens przyjęły robotników polskich, sprowadziły dla nich księdza Polaka, dopomogły do założenia szkoły polskiej i ułatwiły założenie towarzystw polskich, między innemi gimnastycznych i t. p. Gazeta francuska przedstawia Polaków jako dzielnych, trzeźwych, obserwujących ściśle odpoczynek niedzielny, posiadających zdolności i chętnych do nauki, nieco powolnych i mniej zdolnych od Francuzów w pewnych pracach delikatniejszego ujęcia; gdy przeciwnie są znakomici, gdy chodzi o prace w drzewie. Górnicy polscy są zadowoleni z pobytu swego we Francyi i nie żałują, iż tutaj przybyli, dzieci ich, które uczęszczały kiedyś do szkoły niemieckiej, są ciekawe wszystkiego i cieszą się z tego, co widzą. Jeżeli nie bratają się z małymi Francuzami, to dlatego, iż się nie umieją rozmówić dobrze. Zresztą towarzystwa francuskie, które ich sprowadziły masami wraz z rodzinami są zadowolone z ich pracy. W okolicach, w których pracują górnicy polscy, panuje spokój i porządek.

Wulkan Etna. Na niżej umieszczonym obrazku widzimy wulkan Etnę na wyspie Sycylii, we Włoszech, podczas wybuchu. Z otworu, czyli krateru na szczycie góry bucha ogień, wylatują w górę rozpalone kamienie i piasek czy też popiół, zmieszany

z parą wodną. Jednocześnie z owego krateru na szczycie wulkanu wylewa się płyn ognisty, żarzący się jak roztopione żelazo, i spływa szerokim strumieniem po zboczu góry, paląc w mgnieniu oka wszystko, co tylko stoi na drodze. Płyn ten, wylewający się z wulkanu, jest to roztopiona w wielkim ogniu ziemia; nazywa się ona lawa. Wulkan Etna jest największy w naszej części świata, Europie. Zlekka dymi się on ciągle, a od czasu do czasu wybucha. Przed kilku właśnie tygodniami zaczął się taki jego wybuch i trwa dotąd, grożąc zagładą licznem wioskom i miasteczkom gnieżdżącym się dokoła tej góry ognistej. Dnia 8 go maja od wrzenia we wnętrzu wulkanu, czy też w głębi ziemi pod nim, w okolicy góry zatrzęsła się kilkakrotnie ziemia i kilka wsi i miasteczek rozpadło się w gruzy, a paruset ludzi zginęło. Wulkanów jest na ziemi w różnych miejscach około 300 takich, które teraz jeszcze wybuchają od czasu do czasu; prócz tego jest około 400 wulkanów z dawien dawna wygasłych. W Europie są trzy wielkie wulkany: dwa z nich we Włoszech — Wezuwiusz i Etna, a jeden zwany Hekla, na wyspie Islandyi, co choć zdala od Europy leży, ale do niej się jeszcze zalicza. Te ziejące ogniem góry na ziemi są dowodem, że w jej głębi jest niezmierne gorąco, od którego wszystko w płyn się roztapia. Całe wnętrze naszej kuli ziemskiej jest zapewne taką płynną, rozpaloną masą wypełnione, a tylko z wierzchu pokryte skrzepłą już ziemią, niby skorupą.



Tak zwykle wygląda z daleka początek wybuchu wulkanu. Przed wybuchem dochodzi z pod ziemi głuche niby grzmienie i ziemia drży dokoła, trzęsie się. Potem z krateru wulkanu wybucha wysoko para wodna i tworzy nad nim chmurę, z której deszcz pada. Jednocześnie strzelają kamienie i popiół rozpalony. Zmieszany z deszczem, spada on na ziemię i tworzy potoki gorącego błota. Wkrótce chmurę ponad wulkanem oświetla krwawa wielka łuna. To znak, ze w głębi krateru wzbiera ognista lawa, która też niezadługo wylewa się i spływa na dół.

Gniazdo pod wagonem. Niezmiernie interesujący i ciekawy wypadek odkryto niedawno na jednej z linii kolejowych w Szkocyi. Oto przy rewidowaniu wagonów, pod jednym z nich, w zakątku, obok osi, znaleziono misternie uwite gniazdko, a w niem kraskę, siedzącą na czterech jajkach. Na zawsze posostanie zagadką, w jaki sposób udało się ptakowi uwić gniazdo pod spodem wagonu, będącego stale prawie bez przerwy w ruchu. Nie koniec natem. Zaszedł jeszcze ciekawszy fakt. Dnia 20 maja, skutkiem zmiany rozkładu jazdy, nastąpiła zmiana w czasie odjazdu pociągu, w skład którego wchodził wagon z gniazdem. Kraska, nie mogąca naturalnie wiedzieć o tem, wyleciała z gniazda na chwilę, by poszukać sobie żywności. Gdy wróciła, pociąg z gniazdem był już daleko. Zrozpaczona matka wzięła się na sposób: użyła następnego pociągu i siedząc na nim, dogoniła pociąg z gniazdkiem. W każdym razie następnego dnia, kiedy pociąg z gniazdkiem miał wyruszyć ze stacyi końcowej z powrotem tam, skąd wyjechał, kraska szczęśliwa i zadowolona siedziała już na jajkach. Wobec tego niezwykłego wydarzenia dyrekcya kolejowa poleciła wagon z gniazdkiem wycofać z ruchu tak długo, dokąd nie wylęgną się młode kraski i nie będą zdolne do lotu.

Szczęśliwe psy. Angielskie psy muszą być zadowolone ze swego losu. W Brixton powstał niedawno zakład dla pielęgnowania i leczenia psów. Młode panny przechodzą długi i mozolny kurs, zanim otrzymają patent na wypróbowane dozorczynie psów. Potrzeba na to nie mniej czasu i wiadomości, niż na uzyskanie patentu dla pielęgnowania dzieci, lecz podobno wychowawczynie i pielęgniarki psów znajdują łatwiej posady i otrzymują wyższe pensye od dziecinnych pielęgniarek.

Telefon zamiast budzika. Gazety angielskie donoszą, że w Londynie wszyscy abonenci telefonów za cenę niewysoką mogą być rano obudzeni telefonicznie, śpią więc spokojnie, bez obawy, że służba zapomni ich obudzić lub budzik się zepsuje. Urzędnicy telefonów obsługują śpiochów z wielką dokładnością można im zaufać zupełnie.

— Zawołajcie Nr. 6004, już po czwartej, czas, żeby wstawał!

— Obudźcie Nr. 1714 musi już wstać, boby się spóźnił na pociąg!

Tego rodzaju nawoływania słyszy się co noc w Londynie na stacyi telefonów.

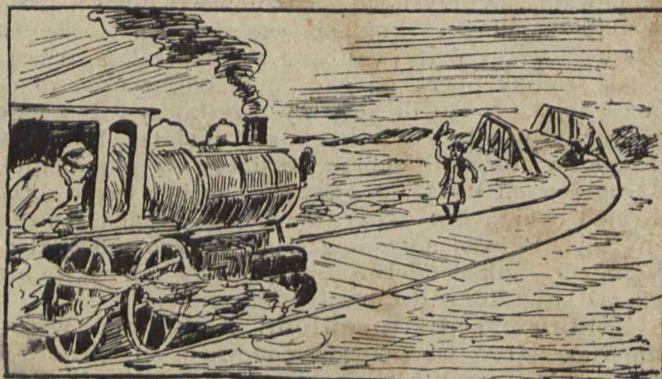
Lew i myszka. Ciekawe doświadczenie zrobiono niedawno w ogrodzie zoologicznym w Nowym Jorku. W jednej klatce umieszczono równocześnie lwa i myszkę. Lew dostrzegł mysz pierwszy i począł ją obserwować z ogromnem zainteresowaniem. Myszka rzuciła się do ucieczki, o ile jej na to małe nóżki dozwalały, w ślad za nią ruszył lew, starając się ją dogonić. Oryginalny ten wyścig trwał kilka minut, przerywany od czasu do czasu piskiem przejętej strachem myszki. Po chwili udało się lwu złapać uciekające przed nim zwierzątko, ale uchwycił ją tak delikatnie, że nie wyrządził jej żadnej krzywdy, owszem nakrył ją lekko łapą, a następnie wypuścił. Manewr ten powtórzył lew jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem z zajęciem przyglądając się myszce. Nagle myszka zmieniła swój sposób postępowania. Korzystając z chwilowej wolności przystanęła i jednym skokiem wstecz znalazła się na głowie swego przeciwnika. Lew zadrżał z trwogi i jak szalony począł biegać po klatce, rycząc przeraźliwie, aż do chwili, gdy mysz, zeskoczywszy z jego głowy, schroniła się w kąt klatki. Od tej chwili lew i myszka pozostali naprzeciw siebie, w najodleglejszych rogach klatki, oboje pełni strachu przed sobą. Z nich obojga lew okazywał większy strach, aniżeli myszka. Poźniej myszka zaczęła krążyć po klatce, wprawdzie zdala od lwa, podczas gdy lew wcale nie ruszał się z kąta, drżąc na całem ciele.

Ślub przed straceniem. Z Trentonu, w stanie New Jersy, w Ameryce donoszą o obrzędzie od bytym w niezwykłych okolicznościach Włoch, Raffaele Longo, oskarżony o morderstwo i skazany na śmierć za pomocą kapelusza elektrycznego, wyraził na krótko przed straceniem życzenie, aby dano mu ślub z przyjaciółką, którą kochał. Życzeniu kandydata na śmierć zadość uczyniono, nie powiadomiono go jednak, że ślub, zawarty tak na prędce w tym stanie nie ma znaczenia. Niebawem po ślubie skazańca stracono.

Największa na świecie fabryka samochodów. W Stanach Zjednoczonych w pobliżu granicy

kanadzkiej znajduje się »samochodowe miasto« Detroit. Z pośród klisko 20 różnych fabryk samochodów na pierwszym planie znajduje się słynna fabryka Henryka Forda, nie mająca sobie równych. Przybywamy do fabryki i wstępujemy do wielkiej hali, zbudowanej z żelaza i szkła; ta hala maszynowa ma na długość 900 stóp, na szerokość 600. Ogłusza nas łoskot niezliczonych maszyn, pracujących w tej i sąsiednich ubikacyach. Wóz szybko przechodzi, raczej przelatuje od jednej maszyny do drugiej. Wszystko wykonują maszyny. Pracuje się dniem i nocą na trzy zmiany po 8 godzin z półgodzinną przerwą obiadową. Dziennie wyprodukuje się 1200 wozów i natychmiast ekspedyuje się w świat przy pomocy długich pociągów; tor kolejowy podchodzi pod samą fabrykę. Napływ robotników do fabryki, poszukujących pracy, jest olbrzymi. Dochodziło do tego, że wysławiany pod niebiosa przez przychylne gazety Ford, rozpędzał tych robotników przy pomocy sikawek. Lecz te sikawki to jeszcze nic. Pan Ford, uważający się za łaskawego »ojca« i opiekuna swych robotników, bacznie śledzi zachowanie się swych ludzi poza obrębem fabryki. Banda kontrolorów, czyli poprostu szpiegów Forda łazi po domach i wszędzie, patrząc, czy robotnik dobrze swe gospodarstwo prowadzi, czem się żywi i jak dzieci wychowuje. I jeśli szpieg Forda dowie się n. p., że robotnik zaniedbuje swe obowiązki rodzinne, w takim razie »ojciec« swego »syna« po raz pierwszy karze naganą, po raz drugi wyrzuceniem z fabryki. Dziennie naładowuje się samochodami 10 pociągów po 17 wagonów; oprócz tego ekspedyuje się innymi sposobami — we wszystkie części świata. Własne fabryki, zajmujące się przeważnie produkcyą różnych automobilowych przyrządów, posiada Ford w szeregu miast — w Chicago, San Francisko i t. d. Fabryka w Walkerwille dziennie produkuje 100 wozów. W biurach fabryki pracuje samych biurowych panien 500.

Bohaterskie dziecko. Zdarzało się nieraz, że matka, z narażeniem własnego życia, ratowała dziecko od śmierci. Niedawno zaszedł wypadek, że dziecko, może 6 lat liczące, uratowało matkę od śmierci, śmierci straszliwej, bo pod kołami pociągu błyskawicznego, pędzącego całą siłą pary. Pociąg z Filadelfii w Ameryce zbliżał się do Mont Sully. Przed mostkiem na górskim potoku tor zakrzywia się bardzo nagle.



Kiedy pociąg znalazł się własnie na krzywiźnie, maszynista spostrzegł przerażony, że w odległości może 100 metrów, tuż przed mostem, stoi między szynami dziewczynka, wywijajaca czerwoną chustką. Widocznem było, że w pobliżu grozi jakieś niebezpieczeństwo. Z błyskawiczną szybkością maszynista dał kontrparę, pociąg gwałtownie wstrzymał się, że aż kilku pasażerów odniosło poważne stłuczenia i stanął tuż przy dziewczątku. Jeszcze kilka sekund jazdy, a dziecko byłoby zginąło na szynach. Pasażerowie zaczęli krzyczeć i wyglądać przez okna. Maszynista zeskoczył, zeszli konduktorzy i kilkunastu pasażerów i zaczęto badać dziewczynkę. I cóż się okazało? Kazia Johnson, tak się nazywała owa dziewczynka, szła z matką i ze swy czteroletnim braciszkiem przez most kolejowy, na którym było obok szyn przejście dla pieszych, ale złożone tylko z żelaznych sztab, wpoprzek połączonych Matka jej zrobiła fałszywy krok i wpadła w jeden z większych otworów, zdołała jednak rękoma chwycić się jeszcze sztab żelaznych, ale że uwisła nogami, nie była w stanie się wydobyć i byłaby spadła w przepaść. Mała Kazia usłyszała dudnienie pociągu, odeszła więc od matki i zatrzymała pociąg. Rzucono się tedy na ratunek kobiecie i wyciągnięto ją z żelaznych ram. Podróżni, szczególnie kobiety, obsypały dzielną dziewczynkę podarunkami. Obrazek nasz przedstawia chwilę, kiedy dziewczynka zatrzymuje pociąg.

Osobliwy zakład. Jak donoszą z Nowego Jorku, niejaki p. Parr z Baltimore wygrał tam ciekawy zakład: założył się mianowicie o 1.000 dolarów, że tarzając się, przebędzie w przeciągu 24 godzin przestrzeń 5 kilometrów. P. Parr zakład wygrał a tarzaniu się jego przypatrywało się całe »towarzystwo« miasta, które ze swej strony zakładało się o wynik osobliwej próby. Ogółem przegrano i wygrano 15 tysięcy dolarów. P. Parr, który miał na sobie strój ze specyalnemi ochraniaczami na łokciach i kolanach, przez cały czas trwania zakładu nie zmienił swej leżącej pozycyi.

Raj dla palaczy. Prawdziwym rajem dla palaczy jest Meksyk; tam palą wszyscy: starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, ubodzy i bogaci. Małem dzieciom, które ledwie dopiero chodzić umieją, już wtyka się papieros w usta, a nawet uczniom w szkołach, o ile zasłużą na to odznaczenie, pozwala profesor na palenie papierosa w czasie nauki. Ponieważ zamiłowanie do stałego używania tytoniu jest wrodzone Meksykańczykom, pozwolenie na palenie jednym uczniom jest zachętą i bodźcem dla innych, którzy zadają sobie trudu, aby ta łaska i wyszczególnienie spłynęło także i na nich. Zatem w takich wypadkach można uważać palenie za środek wychowawczy. Może zajść wypadek, iż cała klasa uzyska pozwolenie palenia. — W Meksyku wolno palić także i w kościele, co zresztą jest w zwyczaju w bardzo wielu krajach południowej Ameryki. Kobiety i mężczyźni palą w czasie całego nabożeństwa, wyjątek stanowi tylko chwila Podniesienia. Wtedy wszyscy bez wyjątku wyrzucają z ust papierosy i zginają kolana. Skoro jednak minie ta chwila, na nowo zapalają wszyscy papierosy. W Meksyku palą nawet w sądzie w czasie rozpraw. Tam palą nietylko sędziowie, ale także obrońcy, służba sądowa, świadkowie i sędziowie przysięgli. Nawet oskarżony i dodani mu do asysty żandarmi otaczają się kłębami dymu. Z tych kilku przykładów widać, że rzeczywiście Meksyk jest prawdziwym rajem dla palaczy.

Podróż naokoło świata 86-letniego staruszka. Znany podróżnik Franciszek Hopp, dziś liczący 86 lat, w ubiegłym roku rozpoczął podróż naokoło świata. Dotychczas wiedzie mu się dobrze. Przebył Azyę, Afrykę i Australię, a teraz zatrzymał sią w San Francisko, portowem mieście Stanów Zjednoczonych w Ameryce, skąd obecnie wyrusza w podróż powrotną do Europy. Podczas podróży zebrał wiele cennych przedmiotów krajoznawczych i artystycznych, któremi wzbogaci swoje prywatne zbiory w Budapeszcie.

Amerykański ogrodnik - czarodziej. Ogrodnicy w hodowli nowych odmian roślin znają dwa sposoby: albo dobierają silne dziczki i hodują je

w specyalny sposób, albo łączą ze sobą różne rośliny przez opylanie kwiatów jednych, pyłkiem kwiatów drugich. Otrzymanie nowej odmiany nie należy do rzeczy łatwych; wymaga ono wielokrotnych prób i ogromnej cierpliwości. W Ameryce mieszka uczony ogrodnik Berbank, który wychodował aż 2.500 odmian roślin, ale też poświęcił temu całe życie pod hasłem: „Cierpliwość i doświadczenie". I tak n. p. Berbank wyhodował nową odmianę śliwki, której owoce dosięgają rozmiarów jabłka średniej wielkości, a mają pestki pozbawione twardej skorupy. Ponieważ odmiana ta daje więcej owoców niż inne, rozpowszechnia się coraz bardziej. Podobnież udało się Berbankowi otrzymać orzechy włoskie bez skorupy, okryte tylko cienką i miękką skórką. Podziw budzą jego jarzyny o wielkich jagodach białych i bez ziarnek. Wspaniałe odmiany róż, należą także do dzieł „czarodzieja". Między niemi wyróżnia się róża niebieska. Z kaktusów, roślin nieużytecznych, pokrytych ostrymi kolcami, Berbank wychodował zupełnie nowy gatunek, soczysty i bardzo smaczny, a pozbawiony kolców. Podobno kaktusy te znakomicie nadają się do pędzenia spirytusu, dając go znacznie więcej, niż dotychczas używane rośliny. Z połączenia pewnej odmiany malin, z pewną odmianą jarzyn, udało mu się otrzymać nowe, wielkie i smaczne jagody. Wyhodował też drzewo, rodzące owoce, podobne do moreli, lecz o smaku śliwek. Zaszczepił on też na ziemniakach pomidory i otrzymał rośliny, które rodzą pod ziemią kartofle, a w górze pomidory.

O fakirach. O fakirach wydał świeżo zajmującą książkę misyonarz ze Stanów Zjednoczonych W. M. Zumbro. Zwiedził on w okolicach Madury skałę Tirnpurankundram, która z pewnością musi być jeśli nie największem, to najgorętszem ogniskiem fakiryzmu. Otóż fakir, to człowiek, który, aby siebie samego uświęcić i oddać cześć bóstwu, umartwia ciało swoje, a im to dłużej czyni, i im umartwienie większe, tem fakir świętszy i większa cześć bóstwu oddana. Są szczerzy fakirzy, którzy istotnie z głębokiej wiary oddają sami siebie na męczarnie, ale też po miejscach słynnych z pielgrzymek dużo jest ludzi trudniących się fakirstwem dla zarobku. Czciciele boga Subramaniana zbierają się dwa razy na rok u wspomnianej już skały na uroczystości religijne. Wtedy to zawodowi fakirzy pokazują się ludowi, zbierając jałmużnę. Tak n. p. fakir, który kazał się wieszać na pół godziny za nogi, a pod głową palić ogień z mokrego drzewa i zbierał za to widowisko jałmużnę od pielgrzymów, rzeczywiście był tylko aktorem, ale dwaj inni byli szczerzy. Jeden z bardzo dalekich okolic, dosłownie przytulał się do świętej skały, przez całą drogę kilkudziesięciu mil, nie podniósłszy się ani raz i dając się tylko karmić litościwym osobom i poić, a nie przyjmując pieniędzy. Drugi również z dalekich okolic dostał się do świętego miejsca w ten sposób, że położył się na ziemię, dotykając nogami progu swego domu, wyciągnął przed siebie jedną rękę z kamykiem i kamyk ten położył przed siebie jak najdalej. Potem wstał i znowu wyciągnął się na ziemi, stopami w tem miejscu, które kamykiem naznaczył, a ręką kamyk przed sobą kładąc. I ten drugi dawał się tylko karmić i poić, ale nie brał pieniędzy.

Przed obu tymi fakirami tłum się z uszanowaniem rozstępował, co zresztą działo się często i w stosunku do oszustów. Męczarnie, zadawane sobie przez fakirów, nazywają się tapas. Zdarzają się też, choć rzadko, kobiety fakiry i wtedy się nazywają sadhoi. Rodzice zadają nawet męczarnie dzieciom płaczącym i krzyczącym z bólu, byle tylko cześć oddać świętemu. Fakira zresztą w całych Indyach na każdym kroku spotkać można. Z nad brzegów morskich pielgrzymuje pod góry olbrzymie Himalaje, po miastach żebrze od domu do domu, mieszka na pustyni i w puszczy, gdzie w milczeniu nieruchomy i obojętny na wszystko, co go otacza, żyje jak pustelnik, póki go śmierć z wycieńczenia nie zabierze, albo dzikie zwierzęta nie rozszarpią.

Sposób zawierania małżeństw przy pomocy ogłoszeń gazetowych zyskał już prawo obywatelstwa w Japonii. Córy dalekiego Wschodu są wszakże poetyczniejsze od mieszkanek Europy, czego najlepszym dowodem następujące ogłoszenie, które ukazało się niedawno na szpaltach dzienników japońskich: Zawiadamiam niniejszem, iż jestem ładną dziewczyną, mam twarz do kwiatu podobną, obfite, czarne włosy, brwi bez zarzutu i dobrą figurę. Posiadam tyle pieniędzy, iż mogę sobie życie uprzyjemnić z ukochanym mężczyzną, któremu wolno będzie pozostać zawsze moim towarzyszem. Gdyby jaki piękny, utalentowany i wykształcony mężczyzna był skłonny do przyjęcia mej ręki, aby podziwiać ze mną przecudne kwiaty w dzień, a księżyc i gwiazdy srebrzyste w nocy, w takim razie chętnie dochowam mu wiary przez całe życie. A gdy życie przeminie, gotowa jestem spocząć z nim we wspólnym grobie". Nie należy wątpić, że poetyczna Japonka znajdzie równie poetycznie usposobionego Japończyka, na towarzysza wspólnej wędrówki życiowej.

O pomnożenie plonu ziemniaków. Sposób zwiększenia plonu ziemniaków polega na odłamywaniu naci po jej okwitnięciu. Wówczas powstrzymuje się dalszy jej rozrost, a cały materyał, który roślina z ziemi i powietrza czerpie, idzie na tworzenie bulw ziemniaczanych, o co właśnie rolnikowi głównie chodzi. Pracę tę najprościej uskutecznić w ten sposób, że w jakie 10—14 dni po okwitnięciu ziemniaków walcuje się je walcem, jakiego się używa przy sianiu zbóż. Walec swym ciężarem powinien zlekka nać ziemniaczaną nadłamać i w ten sposób wstrzymać jej dalszy rozwój. Nadłamywanie uskutecznić można także rękoma, jak tego dokonywano na polach doświadczalnych jeszcze w roku 1909, przyczem okazało się, że dzięki takiemu sztucznemu powstrzymywaniu rozrostu naci nietylko otrzymano przy zbiorze ziemniaków więcej, ale były też bez porównania piękniejsze i większe niż na polach, gdzie sposobu powyższego nie użyto. Różnica na wadze wyniosła na morgę około 14 centnarów metrycznych.

Jak się narody witają. U różnych narodów rozmaicie witają się z sobą. U nas mówi się: »moje uszanowauie«, »dzień dobry« i t. d., a gdzieindziej panują inne zwyczaje. Przytaczamy tu powitanie w brzmieniu dosłownem po przetłumaczeniu na język polski. Włoskie powitanie brzmi: »jak pan stoi«, holenderskie: »jak pan jedziesz?«, szwedzkie: »jak pan może?«, egipskie: »jak się pan poci?«, chińskie: »jak jest z twym żołodkiem?, czy zjadłeś twój ryż?«, perskie: »oby twój dzień nigdy nie był mniejszy«. Powitanie i pożegnanie brzmi u Niemców: »n'tach« czyli »dzień«, albo też »malzeit« czyli »pora obiadowa«; szczególnie to ostatnie pozdrowienie przypomina nieco zwyczaje chińskie, choć przyznać trzeba, że chińskie »jak jest z twym żołądkiem, czy zjadłeś twój ryż« formą znacznie przewyższa niemieckie »pora obiadowa«.

Przyczyna zapalenia płuc u kurcząt. Należy wystrzegać się wypuszczania kurcząt zrana na zroszoną trawę, ponieważ bardzo łatwo zaziębiają się i zdychają na zapalenie płuc, często w wielkiej ilości. Wobec tego trzeba przestrzegać, by trawa w miejscach, gdzie się kurczęta z rana wypędza, była skoszona nisko, a więc mogła szybko z rosy wyschnąć.

Roślina do wyrobu papieru. Nowym materyałem do wyrabiania papieru jest roślina agawa, pochodząca z środkowej Ameryki. Gatunków jej jest około 130, niektóre bardzo pożyteczne. Pewien gatunek, rosnących na pustkowiach, dostarcza podróżnym płynu, mogącego zastąpić wodę. W Meksyku płyn ten tak się rozpowszechnił, że wyrabiają z niego narodowy napój. Wysuszone rośliny tego gatunku służą za opał. Z innego gatunku otrzymano rodzaj włókien, z których pleciono maty i liny. Jest to gatunek agawy, jej liście nadaja się szczególnie do wydobywania z nich włókien. Liście te układają się w kształt rozety; liść ma około 25 cm długości. Na gładkim brzegu liścia sterczą szare, jakby druty, kolce, z których sporządza się liny. Gdy rośliny się zestarzeją, tracą ich włókna swą wartość, trzeba sadzić nowe plantacye. Te stare rośliny, niezdatne już do wyrobu lin i odpadki z silnych, jakie pozostają przy wyrabianiu włókien, zużywa się obecnie, jako materyał do wyrobu papieru. Papier okazał się doskonałym i silnym; jest to głównie papier do pakowania.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP. Wenc w Ś.: „Podanie o zamku w Chodakówce“ bardzo ciekawe. Dziękujemy i o dalszą pamięć prosimy. — Władysław Moździerz w D.: Cieszy nas bardzo, iż podobają się Panu nasze powieści. Na rok 1915 przygotowujemy powieści jeszcze ciekawsze. Łączymy pozdrowienia. — Andrzej Budziński w B.: Dobre. — Eugeniusz Wydro w Rz.: Nie dzieli się „Buk-areszt“, lecz: „Bu-ka-reszt“, a wobec tego szarada błędna. — Józef Drewko w S.: Ocenę każdej otrzymanej książki chętnie umieszczamy, bo to wzmaga tak potrzebne czytelnictwo. Niestety, książki Pańskiej nie otrzymaliśmy, więc i wzmianki nie umieściliśmy. Prosimy więc o nadesłanie — Wincenty Kuśnierz w Ł.: Pieniędzy Administracya nie otrzymała, więc nie mogła wysłać kalendarzy. — Karol Powroźniak w S.: Otrzymaliśmy. — Jan Łojek w R.: Nadesłany artykuł umieścimy wkrótce

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

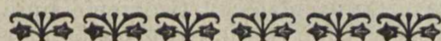
Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 30 czerwca:

Płacono z jeden cetnar żywej wagi:

Buhaje	Kor.	52	do	78
Woły	„	86	„	94
Krowy	„	55	„	74
Jałówki	„	52	„	66
Cielęta	„	70	„	118
Owce i kozy	„	00		00
Świnie (bita waga)	„	156	„	170

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie 30 czerwca:

Pszenica	Kor	9·—	do	10·40	za 50 kg.
Żyto	„	10 —	„	10·25	„
Jęczmień	„	8 30	„	8 85	„
Owies	„	8 10		9·10	„
Otręby pszenne	„	6 20	„	6 40	„
Otręby żytnie		6·30		6 50	



Zagadki do nagrody.

(Ułożył Anan).

1. SZARADA.

O! dziś nie tacy jak dawniej są cali:
Jednemu pierwsza i druga smakuje,
Przy pierwszej i piątej papierosa pali,
Inny gorzały za wiele wytruje,
No i jak bela w czwartym piątym leży,
A inny nie wie, że trzecia wstecz wzięta
Do alfabetu naszego należy,
Tamten, gdy w karty idzie gra zawzięta,
Myśli o trzeciej i piątej, aż naraz
Dostaje pierwszy i czwarty miast pika...
Przegra na nowo. I nowy ambaras,
Bo jak turecki święty goły zmyka.
Wam to, nadobne panienki przedstawiam
Całych dzisiejszych — wybierajcie zatem,
Bo wam swobodny wybór pozostawiam,
A później mówcie z mamusią i tatem.

2. SZARADA.

Pierwsza litera, druga wstecz na muchy,
A trzeci znowu gra, pisze, maluje,
Albo do trąbki će, be czy ef dmucha,
Czasem zegarki nawet reperuje,
A cały dziwak wziął kawałek kija,
Całą gromadę wokoło posadził,
A sam przeróżne zygzaki wywija,
Jakby każdego na sznurku prowadził.

3. SZARADA.

Pierwsze! skrzypki od ucha
Rżną, a drugi i trzeci
Aj waj, szepce, to słucha,
To znów pejsa podkręci.
Sztukmistrzowi daj trzeci,
Nie pokaże bestya,
Jak nasz w całem lud kmieci,
Jak chłop polski wywija,
A ty co chcesz, to gadaj...
Cały polski jest taniec
A niemieckie ein, zwei, drei
To nie dla nas, to na nic.

4. SZARADA.

Pierwsze i drugie to są dwie litery,
Trzecie mi przyznasz, czwarty-siódmy Panie.
Bez szóstej-trzeciej-siódmej wśród cholery
Na całym piąte-szóste się Bałkanie
Szaradę możnaby wyjaśnić szerzej:
Pierwsze i szóste i siódme zażarci
Cali wciąż jeżdżą, więc powiem wam szczerze,
Już mi uciekli... Pognali jak czarci.

* *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, piękną książkę.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 11 lipca 1914 roku. Adres: Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.

Znaczenie zagadek z numeru 25 »Roli«: **1. Paragraf, 2. Piwowar, 3. Parasol, 4. Matka, 5. Dama. 6. Babka.**

* * *

W oznaczonym czasie dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali PP.: Józef Kurpiel z T., Adela Bezokówna z K. M., Franciszek Kluz z Ł., K. Nekvapil z N. S., Józefa Hirszberg z K., Fr. Teper z M. K., E. S z Br. W., br. Kajetan z K., Antoni Andruszkiewicz z J, Piotr Wenc z Ś., Marya Radlmesserówna z S., J. Midowicz z S., Karol Wlazło z T.

* * *

Nagrodę p. t. ***Dla ludzi*** wylosowała **p. Adela Bezokówna** z K. M.

Na koszta poleconej przesyłki prosimy nadesłać 45 h.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.

— Więc oskarżony ukradł najpierw futro, a później wyciągnął drugiemu jegomościowi portmonetkę?

— Tak, panie sędzio. W takim eleganckim futrze nie wypada przecież chodzić bez centa w kieszeni.

Przecież coś.

— Ty! Moryc! Nigdy nic na polowaniu nie trafiasz, a wczoraj postrzeliłeś chłopa z nagonki.

— Nu, ale wiesz jak się nazywa?

— Zajączkowski!

O drugiej rano.

Żona: — Teraz wracasz do domu i w takim stanie!?

Mąż: — Ha no... nie wiem w jakim stanie wróciłabyś ty, po szesnastu kieliszkach wódki i czternastu bombach piwa!